

czerwony karzet

2 (22) 2017



ISSN 1425-5952



9 771425 595204

PROZA

Norbert Góra	
<i>Xevinon</i>	7
Jean-François	
<i>Wespół w zespół</i>	15
Sandra Gatt Osirńska	
<i>Koszmarne przesąd</i>	19
Anna Musiałowicz	
<i>Studnia</i>	27
Dagmara Adwentowska	
<i>Trzeci</i>	28
Andrzej Prószyński	
<i>Zgroza w San Escobar</i>	40
Karolina Kaczkowska	
<i>Wyśpisz się po śmierci</i>	42
Luiza Dobrzyńska	
<i>Tyle co błysk</i>	43

PUBLICYSTYKA

Jan Plata-Przechlewski	
<i>Ze starej latarni grozy mignięć kilka</i>	3
Marcin Szklarski	
<i>Udany powrót do Derry</i>	14
Karolina Kaczkowska	
Anna Lizbet <i>Hansa Christiana Andersena</i>	
<i>jako utwór grozy</i>	24
Grzegorz Szczepaniak	
<i>Horror po prl-owsku...</i>	34

Czerwony Karzeł

Magazyn Literacki
Gdańskiego Klubu
Fantastyki
Nr 2 (22) 2017

100 egz.

ISSN 1425-5952

OD REDAKTORA

Horror i groza w ostatnich latach przeżywają w naszym kraju istny rozkwit. Pojawiło się wiele inicjatyw popularyzatorskich i wydawniczych – jak Horror Masakra, Dom Horroru, Phantom Books czy Misterium Grozy. Od kilku lat w Krakowie odbywa się corocznie Kfason, czyli Krakowski Festiwal Amatorów Strachu, Obrzydzenia i Niepokoju. Polacy nie gęsi i swój horror mają, a gatunek ten świetnie sprawdza się w naszych krajowych realiach. Na szesznastym Polconie we Wrocławiu horrorowi i grozie poświęcono cały blok programowy, a frekwencja uczestników na panelach i prelekcjach zdecydowanie przekroczyła oczekiwania organizatorów. Wydaje się, że popularność grozy literackiej i filmowej z wolna staje się normą, zaś obwinianie tych odmian fantastyki o incydenty przemocy staje się coraz rzadsze i przestało być traktowane poważnie. Zapraszamy zatem do zapoznania się z twórczością młodych autorów polskiego horroru. Drogi Czytelniku – witamy w świecie koszmarów! Przewróć kartkę, jeśli się nie boisz...

Adres korespondencyjny:

80-385 Gdańsk
ul. Opolska 2

Redakcja:

Karolina Kaczkowska (RN)
Agata Plank-Wcisłowska
Jan Plata-Przechlewski
Grzegorz Szczepaniak

E-mail:

delvanakk@gmail.com

Okładka:

Ilona Bielicka, *Pani Jeziora*

Druk:

Print Group Sp. z o.o.
http://printgroup.pl



JAN PLATA-PRZECHLEWSKI

ZE STAREJ LATARNI GROZY MIGNIĘĆ KILKA

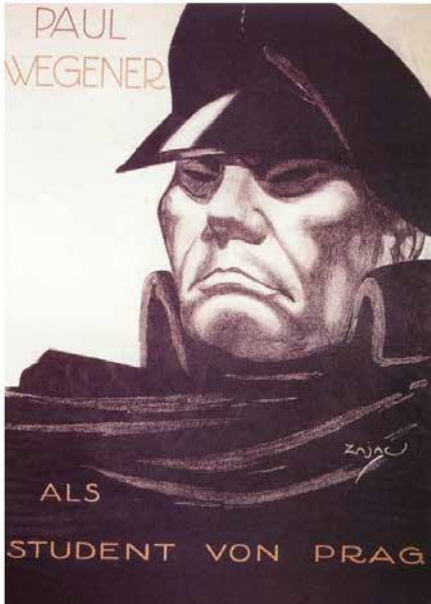
W ortowskim Liceum Plastycznym jako specjalny przedmiot mieliśmy wiedzę o sztuce. Prowadzący te zajęcia profesor (przez szacunek dla tego starszego, dystyngowanego pana – słowa „profesor” używam jako tradycyjnego zwrotu grzecznościowego wobec nauczyciela w szkole średniej) na pierwszej lekcji omawiał malarstwo jaskiniowe. Zaskoczył nas wszystkich nazywając te z pozoru prymitywne rysunki „arcydziełami”. Wyjaśnił nam więc, iż są arcydzieła, gdyż było to coś najdoskonalszego, co wtedy potrafił namalować Człowiek. Teraz zresztą, przyglądając się reprodukcjom z Altamiry czy Lascaux, mogę i bez taryfy ulgowej stwierdzić, że owe malunki są może „prymitywne” – ale na pewno nie są „nieporadne” oraz widać w nich autentyczny zmysł plastyczny.

Dlaczego o tym wspominam? Ano dlatego, że podejście profesora Łosia przeżyłem, jako szczerzy wielbiciel sztuki filmowej, na – mającą zaledwie nieco dłuższą niż stulecie historię – kinematografię. Podczas Baltikonu 2015, w jednej z sopockich szkół, miałem przyjemność wygłosić prelekcję nt. historii filmu SF. Zwracałem szczególną uwagę na to, że wiele filmów, które dziś się zestarały – w dniu swoich premier było dziełami odkrywczymi, nowatorskimi, szokującymi wręcz. I zachęcałem zgromadzoną młodzież, by – jeśli naprawdę kocha fantastykę i kino – spróbowała czasem spróbować spojrzeć na szacowną klasykę oczyma ówczesnych czytelników i widzów. Oczywiście film starzeje się bardziej (gdyż nie opisuje, ale musi

pokazać dosłownie) – jednak ząb czasu poszczególne obrazy nadgryza w różnym stopniu (pomijam „dzieła”, które były niezamierzoną groteską już w chwili powstawania).

Pomyślałem sobie, że za rok mogę przygotować podobny odczyt – tym razem poświęcony klasyce horroru. Jednak Baltikon 2016 albo się nie odbył, albo nie zostałem nań zaproszony; motyw przewodni najnowszego „Czerwonego Karła” pozwala mi teraz wrócić do zaplanowanego wtedy tematu. Nie będę jednak na tych paru stronach podejmował się stworzenia jakiejś historii kina grozy w pigułce – chciałbym raczej podzielić się z Czytelnikami kilkoma wartymi zapamiętania ciekawostkami...

Horror jest jednym z najstarszych gatunków w dziejach kina. Pierwszym filmem grozy był najprawdopodobniej niemiecki *Student z Pragi* Stellana Rye i Paula Wegenera (1913). W ogóle gatunek ten wystartował praktycznie od razu z „górnego C” – i to po naszej stronie oceanu. Mam tu na myśli ekspresjonizm niemiecki. Niemy nurt kina, który kunszt straszenia widza wywindował do rangi arcydzieła. Wystarczy podać dwa najstynniejsze przykłady: *Gabinet doktora Caligari* Roberta Wiene (1920) oraz *Nosferatu – symfonia grozy* Friedericha Wilhelma Murnaua (1922). Pierwszy z nich – zrealizowany w powyżynanych dekoracjach jak ze złego snu, opowiadający historię zbrodniczego hipnotyzera i jego medium – wywołał taki szok, że niemiecka cenzura nakazała dokrócić „racjonalizujący” epilog (z innej beczki: podobnego zabiegu



użyje cenzura radziecka wobec *Zwierciadła* Andrieja Tarkowskiego). Drugi – sfilmowany wśród niespokojnych cieni, traktujący wampira jako niezbadane oblicze natury (świetna rola Maxa Schrecka) – był swobodną, gdyż pozbawioną błogosławieństwa praw autorskich, adaptacją *Draculi* Brama Stokera (dzieje powstawania tego arcydzieła ciekawie przetwarza gorzka komedia *Cień wampira* E. Eliasa Mehriego z 2000 r.). Wtedy też zaistniał wybitny reżyser Fritz Lang (późniejszy autor fantastycznego *Metropolis*) – filmami *Zmęczona śmierć* (1921 r.; zdaniem niektórych – film ten zainspirował później Ingmara Bergmana do realizacji *Siódmej pieczęci*) oraz *Doktor Mabuse* (1922 r.; zdaniem wielu – najwyraźniej ze wszystkich dzieł ekspresjonizmu niemieckiego fabuła tego filmu antycypowała mrok, jaki niebawem ogarnie ów kraj...).

Notabene Francuzi pozazdrościli Niemcom ich ekspresjonizmu i stworzyli swój nurt

niemego kina: impresjonizm francuski. Najśłynniejszym utworem tegoż nurtu jest *Upadek domu Usherów* Jeana Epsteina (1928) – horror oparty na dwóch opowiadaniach Edgara Allana Poe i faktycznie filmowany w formie krótkich, impresyjnych ujęć. My jednak przeńmiemy się za ocean...

W USA nieme kino grozy wiąże się głównie z jednym nazwiskiem. Ale jakim! Mam tu na myśli absolutnego geniusza, jakim był Lon Chaney (nie mylić z Lonem Chaneyem juniorem – jego synem i specjalistą od ról wilkołaków w już dźwiękowych filmach hollywoodzkich). Chaney był mistrzem ekspresji twarzy; może dlatego, że urodził się jako dziecko głuchoniemych rodziców, z którymi musiał porozumiewać się na migi. Ponadto jego zabiegi charakterystyczne ocierały się o pogranicze masochizmu. W słynnej niemiejskiej wersji *Upióra w Operze* w reżyserii swojej oraz Ruperta Juliana i Edwarda Sedgwicka (1925) – genialny i szalony Eryk nie jest (jak w przebojowym musicalu Andrew Lloyda Webbera) przystojniaczkiem o lekko pokiereszowanej fizis (acz cały czas mocno pokiereszowanej psyche). Scena zdercia





maski musiała robić piorunujące wrażenie: wytrzeszczone oczy pozbawione powiek, nie-naturalnie odkryte dziąsła, łysa głowa okolo-na wianuszkami włosów. Owo niesamowite spojrzenie Chaney uzyskał ponoć... pakując do oczu odpowiednio dopasowane rusztowania z drucików! Wcześniej jako *Dzwonnik z Notre Dame* Wallace'a Worsleya (1923) skakał po gargulcach dekoracji obwiązany całym systemem bandaży czyniących zeń poskręcane go kalekę (notabene, jako wierny czytelnik prozy Victora Hugo, jakoś nie umiem traktować nieszczęsnego Quasimodo jako postaci z horrorowego panopticum). Pojawienie się dźwięku było potężnym wyzwaniem dla tego wielkiego mima. Może by mu i sprostał (zagrał w jakimś filmie, gdzie przemawiał czterema różnymi głosami) – jednak przed-wczesna śmierć na nowotwór przerwała tę niezwykle karierę. Zmarł, mając zaledwie 47 lat. W niewiele młodszym wieku (44 lata) jego wielki następca – znany światu jako Boris Karloff – zaczynał dopiero swą wielką karierę.

Nie był Rosjaninem. Był Brytyjczykiem. Naprawdę nazywał się William Henry Pratt. Pseudonim musiał zresztą pojawić się później: w napisach końcowych (czyli tzw. „licie płac”) pierwszego *Frankensteina* Jamesa Whale'a (1931) po hasło „The Monster” widnieje... „?”. Ale *Naręczona Frankensteina* tegoż (1935) zaczyna się ogromnym napisem „Boris Karloff”. Ponieważ do najśłynniejszych ról Borisa Karloffa nieraz nawiązywałem w gieka-efowskich publikacjach – nie będę się zbytnio rozpisywał. Odnośnie *Frankensteina* przypomnę tylko, że jest to może wciąż najśłynniejsza, ale niezbyt wierna ekranizacja powieści Mary Wollstonecraft Shelley. W oryginale bowiem



mamy do czynienia z dylematem naukowca oraz tragedią odrzuconej istoty – film jest zaś prostym horrorem o mózgu psychopaty w poskładanym ciele. Jednak konsekwentny klimat grozy i znakomita charakteryzacja czynią ten film chyba pierwszym wielkim horrorem kina dźwiękowego. Oczywiście: dziś ta maska się już skonwencjonalizowała (spowzedniała, oswoiła) – jednak wtedy musiała szokować. Podobnie jak *Mumia* Karla Freunda (1932) – te żywe, wilgotne oczy na zaszuszonej twarzy... *Naręczona Frankensteina* była próbą nawiązania do problematyki poruszonej przez Shelley (choć powodowało to niekonsekwencje fabularne w stosunku do pierwszej części). Karloff zagrał potwora jeszcze w *Synu Frankensteina* Rowlanda V. Lee (1939). To tam zresztą pojawiają się: Igor (w wykonaniu Beli Lugosiego), jednoręki żandarm i futrzane wdzianko potwora – elementy znane z późniejszych parodii. W innej kontynuacji grał jednego z naukowców (zaś potwora zagrał... Bela Lugosi). Miał też zagrać „siebie” w *Arszeniku*

i starych koronkach Franka Capry (1944) – ale kontrakt z Universalem uniemożliwił to.

6



Bela Lugosi. Inna ikona tamtego kina. Węgier z pochodzenia. Specjalista od roli hrabiego Draculi (1931 r.; reż. Tod Browning). Grał go oszczędnie, z delikatnym uśmie-

chem. Ponoć pierwsi widzowie ze strachu wracali z seansu taksówkami – ale te wszystkie nietoperze na gumkach nawet we mnie budziły dziś chichot. Z Karloffem Lugosi spotkał się wcześniej m.in. na planie horroru *Czarny kot* Edgara G. Ulmera (1934) – też z wątkami Poego w tle. Pod koniec życia stał się tragiczną ofiarą problemów psychicznych: nędza, uzależnienie od narkotyków, obsesyjna nienawiść do Karloffa. Chcąc wrócić na top – desperacko związał się z najgorszym reżyserem wszech czasów Edem Woodem (o czym opowiada biograficzny film Tima Burtona z 1994 roku). Podobno kazał się pochować w czarnym płaszczu arystokratycznego wampira – jedynym wspomnieniu z czasów minionych sukcesów.

Bogata produkcja horrorowa wytwórni Universal (USA) i Hammer (UK), późniejsze komedie grozy z klasykami kina, niedawny przegląd znanej i nieznaney klasyki zorganizowany w piątkowe wieczory przez TVP Kultura – dobitnie uświadamiają polskiemu kinomanowi, iż jego wiedza o filmach z Chaneyem, Karloffem, Lugosim, Lee czy Cushingiem obejmuje zaledwie wierzchołek góry lodowej. Dlatego też kończę te impresje; zachęcając może jednocześnie do pogrzebania w Sieci. 🐼



rys. Agata Plank-Wcisłowska



NORBERT GÓRA

XEVINON

*Należy się obawiać, że rewolucja, jak Saturn,
może po kolei pożreć wszystkie swoje dzieci.*

Pierre Vergniaud, Paryż 1793

François Noël Babeuf szedł brukowaną uliczką przed siebie, w zadumie przyglądając się pomarańczowej kuli słonecznej, powoli zmierzającej za horyzont. Gdzieś w dołach były już nocne chmury, z każdą upływającą minutą coraz bardziej rozpościerające się po niebie.

7

W powietrzu unosił się nieokreślony, słodki zapach, który Babeuf wdychał pełną pierś. Jego wzrok przykuła kobieta otwierająca okno na drugim piętrze starej, brzydkiej kamieniczki przy ulicy. Miała puszyste, kręcone blond włosy, przedzielone w połowie satynową kokardą. Jej alabastrowa cera mogła zwracać na siebie uwagę, ale nie ze względu na piękno. Babeuf pomyślał, że jest chora i potrzebuje pilnej wizyty lekarskiej. Zamrugawszy oczami, dopiero po chwili zorientował się, że kobieta trzyma w rękach drewniane wiadro. Odskokzył do tyłu, cudem unikając fali cuchnących pomyj, które znajdowały się we wnętrzu pojemnika, a które to panienka wylała przez okno. Nieznajoma przytknęła do ust dłoń, widząc, że na ulicy ktoś stał i cicho zganiła się w duchu za ten nieczy czyn.

— Waćpanno, czy ma panna zdrowe? — krzyknął Babeuf z oburzeniem, przeciągając ręką po długich, czarnych jak krukże skrzydła włosach. Na jasnej twarzy kobiety zagościł kłopotliwy uśmiech — *Monsieur*, wybacz pan!

Powiedziałwszy to, zamknęła okno z hukiem i zniknęła we wnętrzu mieszkania. François wypuścił z ust powietrze, pokręcił nieznacznie głową i zakasłał. Wyglądziwszy swój żakardowy płaszcz, ściągnął brwi. Smród, jaki wbił mu się prosto w nozdrza z siłą wiatru, o mało nie powalił go na kolana.

Cholerny Paryż, pomyślał podenerwowany i, omijając obrzydliwą kałużę, przemknął wzdłuż uliczki, byle do domu. Od momentu, kiedy wyzwolono Bastylię, przebywanie w stolicy wieczorową porą było wyjątkowo niebezpieczne. Wszędzie kręciły się opryszki, zdolne ograbić człowieka z każdej złotej monety, nawet tej o miernym nominale. Słodki zapach w powietrzu uleciał, zastąpiony przez okropny fetor. Babeuf zamknął usta i zaczął biec, aby jak najszybciej uwolnić się od tego koszmarnego smrodu. Mijał zdziwionych arystokratów, przechadzających się po bruku z sobą tylko znaną gracją. Co to było za szczęście, że nigdy nie oddalał się od domu zbyt daleko.

Wróciwszy do domu, zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Umysł spowiła mu nieważność do paryżan, króla i jego pomagierów, którzy zrobili z Francji żałosne szambo. Ten cuch na bulwarach, ta zawszona arystokracja i szlachcice z głowami uniesionymi tak wysoko, że zawadzały o pierzaste chmury. Miał tego serdecznie dość.



Wolności i równości żądam, wymamrotał pod nosem – i obrócił się ku drzwicom, a potem załomotał w nie zamkniętą pięścią. Poczul gniew i frustrację, targające nim jak kukielką w dziecięcym teatrzyku. Jedyną radość dawało mu siadanie przy hebanowym biurku i spisywanie gęsim piórem formuły nowej, o wiele lepszej konstytucji, którą chciałby ujrzeć w druku, powszechnie akceptowaną. Za oknem królowały granatowe wstęgi nocy. Przedzierały niebo, zawłaszcząły je dla siebie, kawałek po kawałku, aż zajęły całe. Niewiele myśląc, podszedł do biurka, chwycił za pióro i spojżał na pergamin, na którym widniały pierwsze słowa konstytucji jego autorstwa. Rzucił okiem na szklany pojemniczek z atramentem.

8 Trzeba spisywać dalej marzenia, upewnił się w duchu, po czym umoczył pióro w atramentie i jął spisywać następne wersy najwyższego aktu prawnego. Udało mu się stworzyć jedynie dwie linijki, gdy ktoś zapukał do drzwi. Zdziwiony, skierował na nie spojżenie i chiząknął.

– Któż tam? — zapytał zirytowanym głosem.

– Otwórz, *monsieur!* — usłyszał rżężenie jakby starca. Nie mniej zszokowany powstał od biurka i podszedł do drzwi. Otworzył je, odchylił głowę do tyłu. To był niewysoki mężczyzna ze starannie wypielęgnowanym, czarnym wąsem i płóciennej, beżowej koszuli. Wyglądał jak wieśniak oporządzający królewski dwór.

* * *

Babeuf spochmurniał na twarzy. Kim był ten człowiek?

– Waćpanie... — zaczął nieznajomy i uśmiechnął się, ukazując mu zgniłe, pożółkłe zęby.

No tak, pomyślał François z obrzydzeniem. To musiał być głodny łazęga, szukający datków albo chleba po cudzych chałupach. Tacy jak on wręcz mieli to w zwyczaju. Z jego ust wydobywał się duszący zapach siarki.

– Monet i strawy nie daję! — warknął Babeuf i zatrzaskał obwiesiowi drzwi przed nosem. Wrócił do biurka, usiadł i przygryzł dolną wargę zębami. Ledwo widział słowa na manuskrypcie. Powstał z siedzenia jeszcze raz i podszedł do okna, skąd wziął porcelanowy talerzyk z białą, fikuśnie powyginaną świeczką. Niosąc ją w rękę, wyszedł przed mieszkanie i podniósł ją prosto do płonącej pochodni, oświetlającej wejście do „Tawerny u *Auréliena*”. To było przekleństwo mieszkać naprzeciw tej speluny, zwłaszcza wieczorami. Wypełniona była pijacką wizawą. Ze środka wydostawały się odgłosy żałostnych, bełkotliwych śpiewów. François odszedł czym prędzej od tawerny i wszedł do domu.

– Przysięgam, że gdy tylko obejmę władzę, rozniosę tę spelunę do ostatniej deski — powiedział na głos i zagryzł zęby. Położywszy palącą się świeczkę, z wyginającym się na wszystkie strony płomykiem, zasiadł przy biurku i wrócił do pisania konstytucji.

Dopisał trzy następne linijki, kiedy poczuł czyjaś obecność w pomieszczeniu. Podniósł powoli wzrok znad manuskryptu i wbił spojżenie przed siebie. Z mrocznego kąta wyłaniała się właśnie postać. Babeuf wżasnął ze strachu, poderwał się z siedzenia i machnął



ręką tak intensywnie, że strącił z talerzyka świeczkę. Runęła prosto na drewnianą podłogę, ale siła uderzenia sprawiła, że płomień zgasł, a ona sama pękła na pół. Z głośno bijącym sercem stał nieruchomo i próbował przetknąć ślinę. Gardło miał tak ściśnięte, jakby zaciśnięto na nim skórzany rzemyk.

— *Monsieur*, wszystko słyszałem — zaczęła postać i podeszła jeszcze bliżej Babeufa. François dopiero teraz mógł się jej lepiej przyjrzeć. To był ten sam nieznamy, cuchnący siarką parobek, któremu zatizasnął przed nosem drzwi.

— *Sacrebleu!* — jęknął Babeuf i ucisnął klatkę piersiową w miejscu, gdzie biło serce. Powieka nerwowo mu drgała.

— Jakim cudem dostałeś się do mojego domu, obdartusie? — zapytał François gniewnie, aż twarz mu stężała. Wieśniak podniósł obie brwi do góry i, opuściwszy wzrok, pokiwał delikatnie głową — *Monsieur*, naprawdę, wszystko słyszałem.

Babeuf zaczął powoli się uspokajać, chociaż to niczego nie zmieniało. W dalszym ciągu nie wiedział, kim był nieznamy. Z zalem w oczach spojżał na złamaną świeczkę. Nie będzie mógł nocami pisać i marzyć o słodkim zwycięstwie.

— Dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień, *monsieur* Babeuf — odparł parobek w beżowej koszuli i podniósł wzrok. Na jego twarzy zagościł demoniczny uśmiech. François zamrugał, nie ściągając oczu z nieznanego.

— Kim jesteś?

— Zwą mnie Arcadiusem z Marsylii — szepnął i wykonał nieokreślony ruch ręką — Dzisiaj pokażę ci, waćpanie, jak może wyglądać twoja przyszłość.

Babeuf przeraził się do szpiku kości. Kimkolwiek był ten nachalny, cuchnący człowiek, miał nie po kolei w głowie. Nie szokowało go jednak, o czym bredzi, ale w jaki sposób dostał się do wnętrza domu, skoro nie przeszedł przez drzwi. Czyżby był – na rany Chrystusa – czarownikiem?

— Nie chcę tego słuchać, kmiecie. Opuść natychmiast moje domostwo — rozkazał François, wskazując palcem wyjście. Arcadius popatrzył na niego i zaniósł się śmiechem.

— Dojdiesz do władzy — zaczął i błyskawicznie zorientował się, że Babeuf chwycił haczyk. Jego oczy rozszerzyły się. Wystarczyło tylko słowo-klucz „władza” i Noël był niczym kukła.

— Jak to? — zapytał François z ekscytacją w głosie.

— Spójrz, *monsieur* — powiedział Arcadius i rozpostarł ręce, a potem przyłożył prawą dłoń do lewej. Kiedy tarł jedną o drugą, ze środka skóry Marsylianina wydostawała się para. Babeuf zamrugał, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Z każdą upływającą chwilą para coraz bardziej gęstniała, aż zaczęła przypominać niewielką chmurę. Gdy już uformowała się w jednolitą masę, wąsaty mężczyzna dmuchnął w nią. To, co wcześniej było parą, uniosło się w powietrzu i utworzyło w swoim wnętrzu spiralę. Przez moment Noëlowi wydawało się, że śni. Jedna część chmury pozostawała nieruchoma, druga zaś, w środku, obracała się jak wskazówki zegara, pogłębiając się, jakby sama czegoś tam szukała.

— Na Boga — wyjąkał Babeuf i przetarł oczy.



Arcadius pisnął i wykrzywił usta, przykrywając dłońmi uszy.

— Nie mów o nim przy mnie — syknął złośliwie, ale zaraz zatarł negatywne wrażenie.

— Spójrz, co szykuje dla ciebie los.

Wnętrze niecodziennego zjawiska pojaśniało. Po chwili wyglądało jak obraz unoszący się w powietrzu. Babeuf przyjrzał się uważniej jaśniejącym wstęgom chmury, jakby to było płótno, na którym malował niewidzialny pędzel. Dostrzegł siebie – uśmiechniętego, z dumnie uniesioną głową i wyprostowaną pierśią.

— Rok 1801 — dodał Arcadius, przerywając ciszę i odgłosy dochodzące z głębi chmury. — *Monsieur* François Noël Babeuf, nowy przywódca Republiki Francji. — François nie mógł w to uwierzyć. Obraz naprawdę przedstawiał jego, otoczonego poddanymi oddającymi mu cześć. Szedł jednym z paryskich bulwarów, a ludzie wiwatowali i wyrzucali ręce do góry. Babeuf wpatrywał się w ten cud z tak silnymi emocjami, że musiał się hamować, żeby nie popłakać się ze szczęścia. Arcadius machnął dłonią i przeciął chmurę. Wszystko rozpułnęło się jak kamfora.

— Och, *non!* — jęknął François i spojrzał na wąsatego mężczyznę z żalem w oczach.

— Prawda, że piękne? — zapytał marsylianin i uśmiechnął się. Wiedział, co powie ten żądny władzy człowieczek

— Tak, tak, chcę tego! Chcę!

Arcadius natychmiast zmienił postawę. Wyprostował się, a twarz mu stężała.

— Powoli, waćpanie, powoli... — zaczął i zamilkł, ku zaniepokojeniu Babeufa. — To może stać się prawdą tylko wtedy, gdy przysięgniesz wierność mi, Arcadiusowi z Marsylii. Ja poprowadzę cię do zwycięstwa, *monsieur*.

François zamrugał. Z jednej strony nie powinien się zgadzać. Nic nie wiedział o tajemniczym mężczyźnie, który pojawił się w jego domu. Jednakże z drugiej strony... Był potężny! Udało mu się stworzyć gołymi rękami dziwaczny obraz, bez płótna, bez pędzla. Kogoś takiego właśnie potrzebował. Kogoś, kto wspólnie z nim sprzeciwi się jakobinom i odbierze im władzę. Z tym marsylianinem przy boku rozerwie te parszywe kundle na strzępy.

— Przysięgam — powiedział głośno i wyraźnie. Dostrzegł na twarzy Arcadiusa cień uśmiechu.

— Nie tak prędko. Padnij na kolana przede mną — rozkazał mężczyzna i podszedł krok do przodu, bliżej Babeufa.

— Powtórz to jeszcze raz, tak jak ci powiem. Przysięgam na wieki wierność Arcadiusowi z Marsylii, i że nie opuszczę go w żadnej, nawet najmniejszej potrzebie. Powiedz mi też, co dalej zamierzasz.

François przełknął ślinę, zamrugał oczami i zrobił, co wąsacz mu kazał. Padł na kolana.

— Przysięgam na wieki wierność Arcadiusowi z Marsylii i że nie opuszczę go w żadnej, nawet najmniejszej potrzebie.

Chrzaknąwszy, kontynuował



— Jutro, gdy tylko pierwszy kur zapieje, spotkamy się na *10 Rue de la Bordeaux*. Tam już obmyśliłyśmy plan zwycięstwa nad jakobinami.

Mężczyzna wyszczerzył swoje obłe, pożółkłe zęby i przytknął dłoń do czoła Babeufa. Po chwili Noël zauważył, że obdartus zaczyna rechotać i dzieje się z nim coś podejzane-go. Pękała mu twarz. Skóra przy skroniach w ślimaczym tempie odchodziła i spadała na podłogę. Ramiona Arcadiusa jęły się przeraźliwie czerwienić.

Babeuf zacisnął usta, gdy zobaczył, że u skroni marsylianina pojawiły się twarde, zakręcone i promieniujące czernią rogi. Jego oczy stopniowo zanikały, uwalniając z siebie okropną pustkę.

— Nie... — wyszeptał

François i odchylił głowę do tyłu. Arcadius rechotał w dalszym ciągu, z każdą upływającą chwilą coraz głośniej i intensywniej. W końcu jego śmiech przypominał skowyt diabła z najgłębszych czeluści piekieł, zdolny kruszyć szkło w oknach.

— Nie! — wrzasnął Babeuf, uświadomiwszy sobie, że w pomieszczeniu robi się mgliście. Atmosfera tężała tak bardzo, iż można ją było kroić nożem, jak ciasto. Wąsaty mężczyzna przeistaczający się w rogatego demona zanikał, rozpływał się we mgle.

Co ja narobiłem? – pomyślał François i jęknął. Było już za późno na zmiany. Mgła wdierała mu się do ust i nosa. Krążyła już w jego żyłach, wsiąkała w duszę. Kaszlnąwszy, poczuł nieokiełznaną senność. Powieki robiły się cięższe. Z trudem utrzymywał kontakt ze światem.

— Błagam... — wymamrotał bezsilnie i runął na ziemię, zamykając oczy. Czuł błogi spokój.



rys. Agata Plank-Wcisłowska



Ze strachem otworzył oczy i krzyknął. Rozpaczliwie przeskakiwał wzrokiem z jednej ściany na drugą. Za oknem zapał pierwszy kur, a on był w swoim łóżu.

Na rany boskie, to tylko zły sen – pomyślał i przetaił dłonią spocone czoło.

Rogaty demon był jednak nazbyt prawdziwy. Babeuf miał dziwne wrażenie, że to nie koniec, że jeszcze coś złego się wydarzy. Przełknąwszy ślinę, przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z pobratymcami. Umówił się z nimi 27 maja na *Rue de la Bordeaux*, gdy tylko zapieje pierwszy kur. Do ciężkiego licha, był spóźniony. Niewiele myśląc, wyskoczył z łóżka i chociaż głód prześladował jego umysł, zacisnął zęby i wybiegł z domu, w nieładzie.

Świt dopiero budził się nad Paryżem. Po brukowanych uliczkach przechadzali się jedynie nieliczni. Babeuf mijał ich obcesowo, chociaż niektórych przechodniów kojarzył, chociażby z widzenia. Żłocista kula, wysoko nad miastem, powoli wstawała. Księżyc odszedł na należyty mu odpoczynek.

12

Na *10 Rue de la Bordeaux* – w niewielkim, drewnianym domku – mieli spotkać się przeciwnicy jakobinów i wspólnie ustalić strategię odebrania należynej im władzy. Babeuf ubiegł do środka bez pytania i zamarł, zszokowany. Cała szóstka jego najbliższych współpracowników stała przy ogromnym, mahoniowym stole, pilnowana przez jakobińskie strażę. Postawni mężczyźni, z halabardami w rękach, utrzymywali się w bliskiej odległości i spoglądali co rusz na zdrajców. Już wkrótce pójda na szafot.

— Kogoż moje oczy widzą. *Monsieur François Noël Babeuf* — powiedział znajomy mu już głos. Babeuf zaczął szukać pośród straży tego, który wypowiedział te słowa. Zza jednego z popleczników jakobinów wyłonił się Arcadius. François nie mógł w to uwierzyć.

— Oszukałeś mnie! — wyпалиł, ku zdziwieniu strażników.

Wąsaty obdartus uśmiechnął się przebiegle i wzruszył ramionami.

— Przysiągłeś wierność Arcadiusowi z Marsylii, ale ja nim nie jestem.

Babeuf zdębiał i potrząsnął głową na znak niezgody z zastaną sytuacją. Co tu się wyprawiało?

— Jak to, nie jesteś? To kim jesteś?

Obdartus klasnął w dłonie. Czas się zatrzymał. Strażnicy stali nieruchomo, nawet nie drgając. Pobratymcy François'a też zamarli, jakby otoczono ich niewidzialną, lodową skorupą.

— Jestem Xevinon — powiedziaławszy to, skóra znowu zaczęła mu pękać. — Podziemny Pan Iluzji, Mistrz Oszustwa, Władca Uwiedzionych Dusz!

Rogi błyskawicznie wyrastały z jego skroni. Tak jak uprzednio, były zakręcone, twarde i niesamowicie groźne.

— Nieprawda! — jęknął bezradnie Babeuf, uświadamiając się z wolna, że wczorajsze spotkanie z Arcadiusem... cholera, z Xevinonem wcale nie było sennym koszmarem. On rzeczywiście pojawił się u niego w domu.

— Ależ prawda — odparł spokojnie rogacz i podniósł swoje szponiaste dłonie do góry. Spod drewnianych podłóg, po raz kolejny, zaczęła wydobywać się mgła. Babeuf otworzył usta, chcąc wrzasnąć, ale głos utkwiał mu w gardle. Po chwili deski podłogowe popękały,



jedna po drugiej. Coś wydostawało się spod powierzchni ziemi. Małe, pokryte koszmarnymi łuskami łapki.

Babeuf, w okamgnieniu, naliczył ich dziesięć. Wbijały ostre jak brzytwa pazury w deski, próbując wygramolić się na powierzchnię. Skrzeczały, charczały i wydawały z siebie niezrozumiały bełkot. W końcu François zauważył, do kogo należały łapy. To były miniaturowe, szatańskie pomioty. Najprawdziwsze chochliki, o których słyszał tylko z ust nawiedzonych obłąkańców.

Niewiele myśląc, obrócił się plecami do tego festiwalu grozy i wziął nogi za pas. Wystzelił z drewnianego domku jak królewska karoca spod pałacu. Biegł przed siebie, na oślep. Ludzie zdziwieni zerkali za nim, dokąd tak mknie, przed czym ucieka, skoro w najbliższej odległości nikogo nie dostrzegali. Xevinon uśmiechnął się i opuścił pokryte łuskami ręce. Przybrał na powrót postać Arcadiusa i klasnął po raz kolejny. Czas znowu zaczął płynąć. Strażnicy rzucili mu uprzejme uśmiechy.

— Waćpanowie, zdaje się, że *monsieur* Babeuf zbiegł — powiedział chrapliwym głosem. Posiadacze halabard wymienili między sobą zdziwione spojrzenia i w pośpiechu opuścili domostwo, szukając jakobińskiego zdrajcy.

* * *

Na bulwarze *Le Roi Soleil* zgromadziły się tłumy. Wszyscy chcieli zobaczyć, jak kat pozbawi głowy François Noëla Babeufa – podłego zdrajcę, pyszałka i naiwnego rewolucjonistę. Mężczyzna w lnianej, oliwkowej koszuli cisnął mu prosto w twarz pomidor, śmiejąc się do rozpuku.

— Nażryj się tym, obrzydliwy warchole! — krzyknął, wygrażając pięścią. Dla Babeufa było to nieistotne. Klęczał, zakuty w dyby.

Nad jego głową wisiało, połyskujące w słonecznym świetle, ostrze gilotyny.

— Za zradę jakobinów skazuję tego tu obecnego François Noëla Babeufa na karę śmierci — powiedział kat i obrócił się w kierunku skazanego — Masz jakieś ostatnie życzenie?

François westchnął i rozejrzał się po tłumie. Z pierwszego rzędu wyłonił się Arcadius z Marsylii. Babeuf zamrugał, nie mogąc uwierzyć.

— Jestem niewinny! — ryknął, ale zdawał sobie sprawę, że to nie miało żadnego sensu. Doskonale wiedział, za co został skazany. Kat prychnął i zamachnął się; on zaś jeszcze widział, jak Arcadius przeobraża się w Xevinona. Rechotał szatańsko, ale tłum nie reagował, zupełnie jakby ów był niewidzialny.

— Witaj w piekle, królu naiwności — szepnął Xevinon.

Gilotyna spadła na kark Babeufa niczym kurtyna kończąca spektakl w teatrze. *C'est la vie.*





MARCIN SZKLARSKI

UDANY POWRÓT DO DERRY

14

Czy horror przeżył się jako gatunek? Niektórzy dochodzą do tego wniosku. Chwyty, które kiedyś przerażały, dziś spowszedniały do tego stopnia, że nie robią wielkiego wrażenia. Nawet klasyka, kiedyś stanowiąca o jakości gatunku, dzisiaj nie budzi takich emocji.

Podobnie, do pewnego stopnia, jest z drugą ekranizacją *Tego* Stephen Kinga (a pierwszą pełnometrażową), która nie zbiera oszałamiająco dobrych ocen. Jednak, mimo to, widownia jest liczna, gdyż film ma sporo wyraźnych atutów.

Ekranizacja opowiada historię „Klubu Nieudaczników” założonego przez nastolatków z małego miasteczka Derry, w którym ma miejsce olbrzymia ilość tajemniczych zaginięć. Już na początku widzimy pięciolatka, który – idąc za papierową łódeczką – zauważa w kanale uśmiechniętego klauna. Dziecko traci (odgryzioną!) rękę, a potem znika. Kilka miesięcy później grupa rówieśników postanawia odnaleźć tajemniczego napastnika; ale ten zauważa ich wysiłki – i staje się groźnie.

To ma wszystkie zalety i wady utworów Kinga. Niektórzy krytykują odrobinę schematyczną fabułę: na przemian widzimy sceny z życia i paranormalne zjawiska kontrolowane przez klauna, który próbuje zrobić krzywdę swym ofiarom. Jednak jest

trochę autentycznie strasznych momentów. Na plus można autorowi zapisać świetne obserwacje życia, które pokazuje przez pryzmat codziennych konfliktów i nieporozumień wymieszanych z odrobiną humoru. Horrory Kinga to ciekawy miks grozy i elementów obyczajowych, w których napięcie wynika – w większym stopniu niż z historii paranormalnych – z zupełnie niefantastycznych konfliktów z lokalnymi psychopatami, nadopiekuńczymi matkami czy poranionymi ludźmi, którzy wyładowują się na słabszych. Proza Kinga stanowi kolekcję ciekawych postaci, co decyduje o jego popularności w równym stopniu jak groza. Autor umiejętnie radzi sobie również ze zwrotami akcji.

Wielkim plusem filmu Andy'ego Muschiettiego jest pieczołowite oddanie tego klimatu. Na dodatek wszyscy młodzi aktorzy świetnie radzą sobie z rolami. Uwagi do *Tego* dotyczą raczej wad samego gatunku horroru niż mankamentów filmu. Ekranizację można uznać za bardzo udaną. Być może nie jest to propozycja dla wszystkich zwolenników dynamicznych trillerów i kina akcji, bo więcej znajdują w nim miłośnicy smaczków dnia codziennego. Kończąc myśl z pierwszego akapitu: horror jednak ma jeszcze sporo do zaoferowania. Mimo drobnych uwag – mogą ten film szczerze polecić!





JEAN-FRANÇOIS

WESPÓŁ W ZESPÓŁ

Nad drawskim poligonem zapadała duszna, letnia noc. Wiernemu czytelnikowi Sienkiewicza to nieomal bezkresne pole mogłoby nasunąć na myśl początek *Ogniem i mieczem* (choć akurat tej części *Trylogii* dziwnym trafem brakowało w zbiorach biblioteki jednostki wojskowej) – jednak młodzi żołnierze służby zasadniczej LWP myśleli raczej o jutrzejszym, drugim i na pewno trudniejszym, dniu wspólnym manewrów sojuszniczych armii Układu Warszawskiego.

– Mogą zaatakować także w nocy. Nie wolno nam spać. Ale najgorsze są godziny przedświt. Jeżeli będziemy bardzo zmęczeni – pozwolę wam się zdrzemnąć; jedynie któryś z was będzie musiał nadal pełnić wartę.

– Obywatelu kapitanie, my naprawdę nie chcemy się zbłąźnić i pozasypiać. Tylko organizm nie zawsze słucha postanowień. Gdybyśmy mogli chociaż pograć w karty...

– Wybijcie to sobie z głowy, Kowalski! Za coś takiego sam posłałbym was pod sąd polowy, gdyby to nadal było możliwe. Ale, ponieważ oficer polityczny śpi teraz w koszarach, na rozbudzenie opowiem wam historię o duchach. Fakt autentyczny! Ja byłem wtedy młodziuteńkim rekrutem, a spotkało to mojego dowódcę pod sam koniec wojny...

* * *

Wyzwolone właśnie przez nas i naszych radzieckich towarzyszy miasteczko Ż. miało, jako Ziemie Odzyskane, wrócić do Polski. Wprawdzie, jak się później gdzieś doczytałem, nigdy nie leżało ono w granicach państwa Piastów, bo było to jakieś łuzyckie księstwo czy coś takiego – ale przecież Łuzycanie to Słowianie, na Rugii odkryto posąg Światowida, a nazwa „Berlin” pochodzi od berła. Jednym słowem: „byliśmy, jesteście, będziemy”!

Udało się nam otoczyć Ż. z trzech stron i doprowadzić do panicznej ucieczki hitlerowców. Gdy jednak nasz oddział, jako jeden z ostatnich, wjeżdżał do centrum – wiele budynków płonęło. Widać ze złości podpalili je wycofujący się faszyci; wiedzieli, psubraty, że już tu nie wrócą!

Zakwaterowano nas w kamienicy przy niewielkim rynku. Cztery jego pierzeje prawie w ogóle nie były zniszczone. A od, bodajże północnej, strony nie było pełnego rzędu kamienic. Zaczynał się tam, w głębi otoczony murem, park. Pośrodku muru zwiślały resztki rozwalonej przez czołg bramy, dalej była ścieżka i – niezbyt duży, jakby dopasowany do miasta, pałac.

On wyraźnie nosił ślady niedawnego pożaru. Nie był jednak całkowicie spalony, raczej mocno zdewastowany. Zajrzeliśmy nawet w wolnej chwili do środka – ale atmosfera była tak nieprzyjemna, że szybko się wycofaliśmy. Do dziś się dziwię, dlaczego tak zareagowaliśmy już na wejściu. Położenie po pałacowych wnętrzach byłoby przecież jakąś rozrywką. Ale się nie dało. Coś paskudnego wisało tam w powietrzu. I nie mam bynajmniej na myśli wszechobecnego smrodu spalenizny.



Wieczorem siedzieliśmy w grupie przed kamienicą, na wiklinowych krzesłach wyciągniętych z pobliskiej kawiarni. Dosiadł się do nas nasz dowódca. Powiedział, że rozmawiał z jakimś autochtonem uważającym się ni to za Polaka, ni to za Czecha – w każdym razie on akurat nie był Niemcem i można się było z nim dogadać. Człowiek ten ciekawie opowiadał o Ż., a szczególnie o pałacu.

16 Jeszcze parę lat temu jego właścicielem był baron U. – człowiek ponury, zły i ponoć (jak twierdziła okoliczna gawiedź) parający się czarną magią; podobno udzielał nawet jakichś rad najwyższym przywódcom III Rzeszy, z samym Hitlerem włącznie. Jednak po Stalingradzie popadł niełaskę, a niewiele później zmarł w tajemniczych okolicznościach. Pochowano go uroczyście w rodzinnym mauzoleum na tyłach pałacu. Majątek przejął po nim jego daleki krewniak, którego w Ż. w ogóle nie znano ani nie widziano na oczy. Pałac zamknięto na cztery spusty. Nikt tam zresztą nie chodził, gdyż miejsce już za życia barona cieszyło się złą sławą. Tym bardziej, że w głębi parku znajdowano co jakiś czas zwłoki tułtejszych lub przyjezdnych. Wszystkie miały połamane kości, a na twarzach zastygły wyraz takiego przerażenia, że trudno było tak od razu zidentyfikować delikwenta.

Oczywiście – rozpoczęła się dyskusja o duchach. Wielu z nas znało podobne opowieści ze swych rodzinnych stron. Nasz dowódca coraz bardziej się irytował. W pewnym momencie wykrzyknął, że to po prostu wstyd, by żołnierze niosący ze sobą nowe porządki nadal wierzyli w jakieś sanacyjno-burżuazyjno-klerykałne zabobony i gusa.

Ktoś, korzystając z zapadającego mroku, szepnął głośno, że niech w takim razie obywatel porucznik pójdzie sam tuż przed północą do pałacu i posiedzi tam sam do świtu. Porucznik poczerwieniał – i krzyknął, że przyjmuje wyzwanie, że jeszcze dziś to zrobi, że może nauczy nas wreszcie naukowego światopoglądu.

Przed północą faktycznie wyszedł z kwatery i skierował się w stronę parku i pałacu. Stałem wtedy na warcie przed kamienicą, więc w świetle księżycy dobrze widziałem, jak przechodzi przez wyłomek bramy. Pewnym krokiem skierował się wprost do pałacu.

Wewnątrz budynku atmosfera była jeszcze bardziej przygniatająca niż za dnia. Porucznik, mimo swego zacierzwienia, lekko się wzdrygnął. Po chwili wahania ruszył jednak dalej. Postanowił uczciwie przejść wszystkie komnaty na parterze i pierwszym piętrze, następnie znaleźć jakiś wygodny fotel – i przetrwać tam przynajmniej do brzasku. Za żadną cenę nie chciał odmówić sobie satysfakcji zagrania nam wszystkim na nosie.

Przyświecając sobie wojskową latarką, przeszedł najpierw dolne komnaty. Wnętrza były zniszczone, splądrowane; z ulgą stwierdził, że przygniatająca atmosfera jakby ustępowała. Za to gdy wszedł na górę – aż niemal fizycznie poczuł się przytłoczony tym „czymś”. W pierwszej chwili nawet zawrócił, ale zacięta ambicja oraz chęć zawstyżenia podkomendnych nie pozwoliły mu na to. Ruszył przed siebie (poprawiwszy uprzednio kaburę). Fizycznie wyglądało wszystko podobnie jak na parterze; ale tym razem towarzyszyło mu irracjonalne uczucie, że ktoś obserwuje uparcie każdy jego krok. W końcu, w dużej komnacie na końcu korytarza, zauważył nietknięty skórzany fotel.



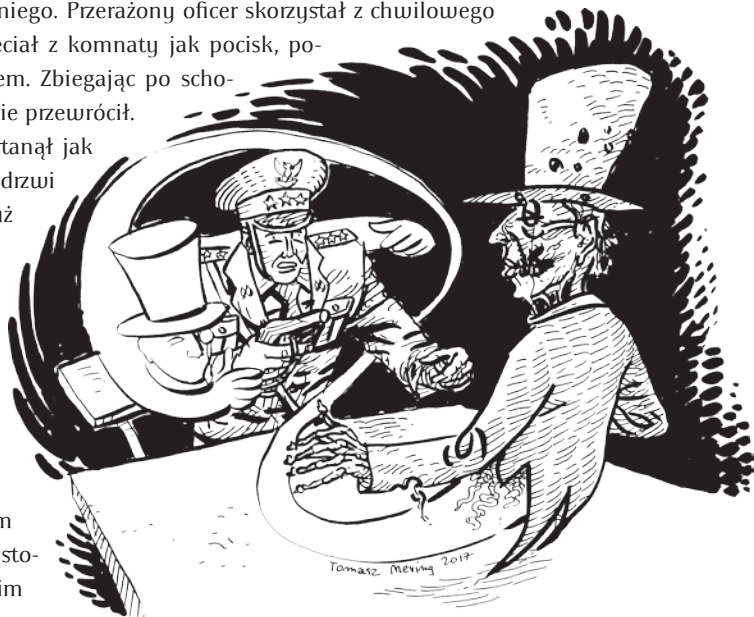
Opadł na niego z wyraźną ulgą i wyciągnął pistolet. Postanowił tak przesiadzieć: bez ruchu, nie zmrzywszy oka, z odbezpieczoną bronią. Nie wiedział, że to plan na najbliższe pięć minut.

Najpierw usłyszał jakby cichy szept i poczuł jakby delikatne muśnięcie na plecach. W pokoju zrobiło się przeraźliwie zimno. A po chwili, w przeciwległym kącie pomieszczenia, zaczął wyłaniać się jakiś niewyraźny kształt...

Włosy mu się nie zjeżyły tylko dlatego, że były zjeżone już od co najmniej paru minut. Kilka metrów przed nim coraz wyraźniej zarysowywała się postać starszego mężczyzny. Wyglądał jak karykatura kapitalisty w propagandowych broszurach. Cylinder, monokl, frak, kamizelka, spodnie w prążki... Butów nie było widać, gdyż sam dół sylwetki był już zupełnie przezroczysty. Reszta też wyglądała jak z dwukrotnie naświetlonej kliszy: za postacią – porucznik domyślał się, że barona U. – widać było wyblakłą tapetę, nawet z wyraźnym ciemniejszym śladem (jakby po stojącym tam wcześniej zegarze). Tylko głowa zjawy była wyraźna jak u żywego człowieka. Nie to jednak było najgorsze. Najstraszliwsza w tym wszystkim było oblicze barona. Regularne rysy można by nawet nazwać szlachetnymi, gdyby nie wyraz twarzy oraz oczy. Zło, po prostu czyste zło z nich zionęło! Trudno byłoby to nawet opisać. Porucznik widział paskudne fizjonomie prowadzonych do niewoli SS-manów, ale ten niemiecki arystokrata przeraził go po wielokroć bardziej.

Nagle baron uśmiechnął się uśmiechem tak okrutnym, że dopiero teraz wydał się naprawdę straszny – i bezszelestnie ruszył w kierunku porucznika. Ten zerwał się z fotela. Gubiąc czapkę i pistolet ruszył w kierunku drzwi. Zjawia to mu je zastała, to zakreślała kręgi wokół niego. Prerażony oficer skorzystał z chwilowego prześwietlenia, wyleciał z komnaty jak pocisk, popędził korytarzem. Zbiegając po schodach omal się nie przewrócić.

Na dole zaś stanął jak wryty, gdyż drzwi wejściowe już zastała całym sobą duch barona. Zmarły okultysta wykonał gwałtowny gest, jakby chciał całym sobą zagarnąć stojącego przed nim





człowieka. Ramiona zjawy przeniknęły przez ciało naszego dowódcy, powodując jedynie lodowate mrowienie. Porucznik odwrócił się – i wtedy zauważył mniejsze drzewi. Też przeszklone, usytuowane w holu vis-à-vis tych głównych, prowadzące chyba w głąb parku.

Nieszczęśnik sforsował je bez otwierania (ciesząc się, że wszystkie szyby wcześniej w nich wybito) i popędził przed siebie szutrową alejką. Obejztał się trwożliwie: duch barona U. cały czas deptał mu po piętach.

18 Przed nim zarysowała się jakaś pogrążona w mroku budowla; niewielka, ozdobna, chyba też neogotycka. Przed nią stał jakiś człowiek. „Ratunku!” – wrzasnął uciekający oficer. Był coraz bliżej. Ciemna sylwetka zrobiła kilka powolnych kroków w jego kierunku. W tym momencie zza chmury błysnął księżyc. Postać czekająca na porucznika okazała się równie przerażająca, jak ścigający go duch: zniszczony frak, blada cera i – co najgorsze – ta sama twarz. Twarz barona U.! Tylko oczy miały inny wyraz. Mętne, tępe, wyrażające prymitywną chęć destrukcji.

Osaczony człowiek jeszcze próbował uciec. Odwrócił się na pięcie, ale wtedy zobaczył rozczapierzonego ducha barona. Chwila zawahania przed zdobyciem się na odwagę, by przebiec przez ducha jak przez lodowatą mgłę. Niestety, ten moment wystarczył. Też zimne, ale niewiarygodnie silne ramiona powstałego z grobu barona pochwyciły go w kleszczowy uścisk. Duch barona wydał jakiś krótki rozkaz po niemiecku. Uścisk był coraz silniejszy.


Wtedy porucznik pojął chytry plan zmarłego okultysty. Jako duch, czyli dusza bez ciała, mógłby co najwyżej postraszyć spadkobierców lub turystów. Fizycznej szkody uczynić nie potrafił; chyba że ktoś miałby słabe serce albo sam skręcił sobie kark na tych cholernych schodach z wystriepionym chodnikiem. Dlatego baron przebudził swego upiora – czyli ciało bez duszy. Taki pseudowskizeszeniec był tylko tępym wykonawcą poleceń swego pana; ale posiadał jeden groźny atut: fizyczne istnienie. I owe mocarne ramiona właśnie wyciskały z nieszczęsnego oficera resztki życia... Tak więc U., dzięki owej potwornej „symbiozie”, nadal mógł nie tylko przerażać!

Porucznik tracił oddech, czuł ból miażdżonych mięśni, słyszał trzask łamanych kości, przed gasnącymi oczami miał dwie równie przerażające twarze: ducha barona U. i upiora barona U.

* * *

— Rano nasz dowódca nie pojawił się na kwaterze. Po krótkich poszukiwaniach znaleziono jego zmasakrowane zwłoki nieopodal mauzoleum. A twarz miał tak wykrzywioną przerażeniem, że rozpoznaliśmy go po mundurze. Wtedy...

— Zaraz, obywatelu kapitanie! Przepraszam, że przerywam – ale, skoro porucznik zginął w nocy i sam, to skąd wiadomo, jak wyglądały ostatnie chwile jego życia oraz co wydarzyło się tej nocy w pałacu i w parku?

— Oj, Kowalski! Właśnie załatwiliście sobie tę poranną wartę... 



SANDRA GATT OSIŃSKA

KOSZMARNY PRZESĄD

19

Przebudził się nad ranem, cały złany potem. Mokra koszulka lepiała się do ciała, to samo z włosami. Zegar, który pamiętał czasy komuny, wybijał właśnie czwartą nad ranem. Jego złote wskazówki błyszczały w porannym słońcu. Przez krótką chwilę Paweł rozglądał się po pokoju – próbując zrozumieć, gdzie jest. Jedną ścianę pokrywała staromodna tapeta w biało-zielone paski, pozostałe zaś pomalowano na biało. Nad łóżkiem wisały portrety poważnych, dziecięcych twarzy. Namalowano je ręcznie na drewnianych płytach. Na jednym z obrazów chłopiec rozpoznał swoją babcie. Był w Wyszogrodzie, domu rodzinnym seniorki. Cieszył się na tę myśl, uwielbiał spędzać z nią czas.

Przetarł zmęczoną twarz. Bardzo chciał mu się pić. Wysunął nogi spod ciepłej kołdry i włożył je od razu w grube, wygodne kapcie z wełny. W domu było przenikliwie zimno. Chłopiec zarzucił na plecy polarową bluzę. Leniwym krokiem wyszedł z pokoju. Przez chwilę nasłuchiwał jakichkolwiek odgłosów, lecz w budynku było cicho. Żadnych dźwięków, nawet chrapania. Zaspanym krokiem ruszył w stronę schodów.

Mijając szeroko otwarty pokój babci, Paweł zajrzał do środka. Kobieta siedziała w swoim bujanym fotelu i uśmiechała się szeroko. Pomarszczone, lekko niedołożne palce całkiem sprawnie dziergały na drutach nowy szalik dla wnusia. Chłopiec odwzajemnił uśmiech. Chciał już coś powiedzieć, gdy kobiet przyłożyła palec do ust. Paweł uklonił się lekko z wyrazem szacunku i wycofał z pokoju staruszki.

Drapiąc się po głowie, zszedł energicznie po schodach. Nalał sobie wody z kranu i łapczywie wypił całą szklankę. Jego pragnienie było stosunkowo duże w porównaniu do zimna panującego w domu. Chłopiec ponownie napełnił szklankę kranówką. Kropelki pary spłynęły po szkle. Oczy Pawła kleiły się przez niewyspanie. Pragnął jak najszybciej wrócić do łóżka. Szybkim krokiem wdrapał się na piętro. Tym razem drzwi pokoju babci były na wpół przymknięte. Paweł otworzył je szerzej, aby zapytać staruszkę, czy czegoś nie potrzebuje. Wiedział, że poruszanie się było dla niej bardzo kłopotliwe. Nie chciał, by trudziła się wdrapywaniem po schodach.

Pokój był pusty. Biały, bujany fotel kołysał się lekko na znak, że jeszcze niedawno ktoś na nim siedział. To pomieszczenie wydawało się dziecku najzimniejsze. Dreszcz, niczym tysiące małych mrówek, przebiegł po plecach Pawełka.

Gdzie jest babcia? – przeszło mu przez myśl.

— Babcia nie żyje — usłyszał w głowie znajomy szept.

Co...? To nie może być prawda! – myśli kłębiły się w głowie chłopca, odbijając pustym echem.

Wtem pokój wokół Pawła zaczął się gwałtownie poruszać. Ściany wirowały w dziwnym, nieregularnym tańcu. Podłoga poszerzała się i malała, jakby ktoś bawił się szkłem powiększającym. Fotel bujał się coraz gwałtowniej, powodując nieprzyjemne skrzypienie,

które przerodziło się w śmiech. Wysoki, okrutny, kobiecy śmiech sztydzący z małego, zagubionego dziecka. Paweł opuścił szklankę i zakrył uszy. Szkło potoczyło się na sam środek dywanu, gdzie utworzyła się, pochłaniająca wszystko, ogromna dziura. Chłopiec zamknął oczy i zaczął głośno krzyczeć.

Nie wiedział, ile to trwało. W pewnym momencie po prostu zabrakło mu tchu. Nabrał powietrza w płuca, zaciągnął się bardzo głęboko. Wokół panowała cisza. Paweł otworzył oczy i opuścił ręce. *Sen? Nie...* Dalej stał w pokoju babci, lecz tym razem była noc. W pomieszczeniu paliła się jedynie długa świeca, stojąca na szafce nocnej. Bez namysłu chwycił ją, aby rozświetlić sobie drogę. Paniecznie bał się ciemności. Rozejrzał się po pokoju. Wszystkie meble i sprzęty były bardzo stare i poniszczone. Wszędzie zalegało mnóstwo kurzu i pajęczyn. Chłopcu wydawało się, jakby znalazł się w zupełnie innej epoce. Zaczął wycofywać się do drzwi. Skrzypienie podłogowych desek pobudzało jego już i tak zszargane nerwy. Serce biło jak oszalałe. Ogarniało go szaleństwo.

Niepewnie chwycił klamkę. Westchnął ciężko, próbując opanować drżenie rąk. Bardzo powoli otworzył drzwi. Korytarz był pusty. Poczuvszy napływ odwagi – Paweł przestąpił próg pokoju. Nagle coś złapało go za ramię i gwałtownie pociągnęło do tyłu. Gdy się odwracał, jego usta wygięły się w kształt litery „O”. Czuł ostre, sztywne palce wbijające się w mięśnie. Zamarł, a wizask utknął mu w gardle. Przed nim stała babcia. Jej oczy były idealnie białe, jakby nie miała ani źrenic, ani tęczówek. Zamiast ust widać było ziejącą ranę z miazgą w środku. Koszulę nocną kobiety pokrywała szkarłatna krew.

Monstrum chwyciło chłopca i uniosło kilkanaście centymetrów nad ziemię. Przez chwilę przyglądało mu się uważnie. Krótkie życie Pawełka przeleciało mu przed oczami. Najbardziej szczególnym momentem, który utknął mu w pamięci, okazał się środowy sprawdzian z matmy. Chłopiec zamiast o twarzy mamy myślał jedynie o wzorach skróconego mnożenia. Nagle poczuł ogromny ból w klatce piersiowej. Nawet nie zauważył, gdy potwór przypominający babcię wbił mu w serce drut, którym jeszcze niedawno dziergano sweter. Spojrzył przerażony w oczy potwora, lecz po chwili jego wzrok zaszył się mgłą. Następnie była jedynie czerń.





Zerwał się gwałtownie z łóżka i upadł na podłogę. Jeszcze przez jakiś czas krzyczał, szamocząc się z kołdrą. Jego umysłem zawładnęła panika. Mimo że był to jedynie kolejny koszmar, wydawał się Pawłowi nad wyraz realny. Próbując oswobodzić nogi – chłopiec walczył z pościelą, kiedy niespodziewanie otworzyły się drzwi sypialni, zalewając pokój światłem z korytarza. W progu stanęła mama Pawła.

— Znow złe sny? — zapytała, pomagając chłopcu wyplątać się z kołdry.

— Tak — odparł zdawkowo. Nie lubił rozmawiać z mamą. Kobieta zbyt często wybuchała gniewem, a on nie chciał jej rozżościć. Sam był wystarczająco zdenerwowany.

Mama pomogła synowi położyć się do łóżka. Gdy ten usiadł na brzegu, nagle kobieta przytuliła go. Chłopiec słyszał ciężki oddech rodzicielki. Wiedział, że jest bliska płaczu. Ostatnio chodziła zasmucona z powodu śmierci babci. Do tego dochodziły kłótnie między nią a ojcem. Ich relacje coraz bardziej się pogarszały. Ostatnio pokłócili się nawet o pogrzeb staruszki. Mama upierała się, by pochować nieboszczkę przed niedzielą. *Inaczej kogoś ze sobą pociągnie* – mówiła. Jednak ojciec upierał się, że przez to wzrosną koszty, na co nie było ich stać. *To tylko głupie zabobony* – odpowiadał. Pawełek niewiele rozumiał z tych sprzeczek, ale wiedział jedno: chciał, aby już nigdy się nie kłócili. A przynajmniej nie przy nim.

— Dobranoc. Musisz się wyspać przed pogrzebem.

— Włączysz mi tylko moje światełko? – chłopiec wskazał na małą lampeczkę w kształcie księżycy, podłączaną do kontaktu.

Mama, uśmiechając się słabo, spełniła prośbę, po czym wyszła z pokoju. Paweł nie mógł już zasnąć. Leżał dłuższy czas, patrząc na sufit. Koszmar całkowicie wytrącił go z równowagi. Tęsknił za babcią. Kochał ją najmocniej na świecie. Długo rozmyślał nad swoim snem. Nie rozumiał, czemu od kilku dni dręczyły go potworne wizje z karykaturalnymi staruszkami. Może kobieta chciała mu coś powiedzieć? *Nie, to niemożliwe*. A mama? Rzadko kiedy go przytulała...

Powieki chłopca zaczęły samoistnie opadać. Paweł przez chwilę walczył ze snem w obawie przed kolejnymi koszmarami. Wiedział jednak, że jest na przegranej pozycji. Jego organizm domagał się upragnionego odpoczynku. Dziecko zamknęło oczy i wtuliło się w poduszkę. Zacisnął palce na swojej pluszowej pandzie łatce.

Usłyszał coś. Nieznaczne skrzypnięcia starych desek, przeszywające nocną ciszę. Ktoś zbliżał się do jego pokoju. *Mama? Nie*. Obcy, którego nie rozpoznawał. Stąpanie domowników było na tyle charakterystyczne, że zawsze wiedział, kto porusza się po korytarzu. Paweł schował się pod kołdrą, dysząc ciężko. Zaczął szczypać własną rękę, aby się obudzić. Jednak tym razem to nie był sen. Światło w pomieszczeniu zaczęło mrugać, niebieska lampka w kształcie księżycy raz rozświetlała cały pokój, by po chwili prawie całkowicie przogasnąć.

Rozległo się pukanie do drzwi. Raz... dwa... trzy. Stuknięcia były bardzo delikatne, jakby intruz nie chciał zbudzić reszty domowników. Nagle klamka opadła, a drzwi się otworzyły. Paweł próbował opanować gwałtowne bicie serca – w obawie, że nieznajomy



je usłyszy. W pokoju rozlegało się ciężkie, astmatyczne dyszenie. Do chłopca doleciała specyficzna woń jego babci: mieszanina zapachu kurzu, lawendowych kulek na mole oraz taniego tytoniu, jaki sprzedawano na targowiskach. Dziecko czuło coś jeszcze. Coś bardzo mu bliskie. Aromat, który przywodził na myśl miłe wspomnienia. *Lukrecja*. Babcia zawsze częstowała nią chłopca.

Paweł usłyszał huk, gdy coś upadło na podłogę. Następne było drapanie pazurów o posadzkę. Ktoś czołgał się w stronę łóżka. Spanikowane dziecko nie wiedziało, co zrobić. Poczulo smak krwi, która popłynęła z pogryzionej wargi. Każda sekunda oczekiwania na najgorsze wydawała się wiecznością. Mógł jedynie mocno przytulić swoją łatkę.

22 Intruz gwałtownie ściągnął kołdrę z łóżka, odsłaniając bezbronnego Pawła. Chłopiec chciał krzyczeć, lecz głos ugryzł mu w gardle. Do oczu napłynęły łzy.

— Babcia — wyszeptał, łamiącym się głosem.

Kobieta wcale nie przypominała zmory z sennych koszmarów. Wyglądała też zupełnie inaczej niż za życia. Jej skóra była idealnie biała, wręcz zdawała się świecić w ciemnościach. Podkrążone oczy, z opadniętymi dolnymi powiekami, sprawiały wrażenie weselszych. Staruszka uśmiechała się ciepło.

— Chodź ze mną, Pawełku — odezwała się miłym głosem.

— Ale... ty nie żyjesz.

Wyciągnęła dłoń w jego stronę, lecz chłopiec wycofał się w kąt łóżka. Mimo to babcia podeszła bliżej i położyła dłoń na głowie Pawełka. Pogładziła jego rozczochrane włosy.

— A wyglądam na martwą? Chodź, wnusiu. Zabiorę cię ze sobą.

— Do Wyszogrodu? — zapytał chłopiec, myśląc o biało-zielonej tapecie w jednym z pokojów.

Kobieta jedynie dalej się uśmiechała.

— Ubierz się. Załóż te ładne ubrania, które ci mama naszykowała.

— Ale one są na twój pogrzeb...

— No już, ubieraj się. Mama nie będzie krzyczeć.

Paweł poczuł się rozdarty. Bardzo kochał babcię, chciał z nią iść. To głównie ona się nim zajmowała. Mógł zwrócić się do niej z każdym problemem. Dbała o niego. Dlaczego jej nie zaufać?

Wysunął nogi z łóżka. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo zimno było w jego pokoju. Kiedy oddychał, widział parę wodną, unoszącą się w powietrzu. Ubrał się. Najpierw bielizna, następnie koszula. Spodnie. Nawet czarny krawat, chociaż ich nie lubił. Marynarka była zbyt duża, czuł się w niej jak w worku. Mimo to grzecznie zapiął guziki, będąc bacznie obserwowany przez babcię. Stał gotowy przed staruszką. Wyciągnęła ręce przed siebie, aby go przywołać. Ujęła dłonie chłopca i spojrzała mu w oczy.

Nie musiała nic mówić. Wiedział, co ma zrobić. Pościelił starannie łóżko i odkrył je wełnowym pledem. Położył się na nim.

— Nie chcę, żeby oni się kłócili — zaczął, gdy babcia usiadła obok niego na skraj łóżka.



- Już nie będą.
- Obiecujesz?
- Obiecuję. A teraz zamknij oczka.
- Czy to boli?
- Co takiego?
- Śmierć. Czy to boli?

Odpowiedziało mu milczeniem. Babcia kojąco gładziła włosy chłopca. Chciał zapytać o coś jeszcze, lecz z każdą chwilą myśli odpływały coraz dalej, pozostawiając w głowie błogą pustkę. Później była już tylko nicość.

Mama Pawła nienawidziła dźwięku swojego budzika. Najchętniej rzuciłaby nim o ścianę. Miała wielkie problemy z dobudzeniem się. Leki uspokajające, które dostała od lekarza, były stanowczo za silne. Niechętnie wstała z łóżka i założyła mięciutki szlafrok. Czekał ją jeden z najpaskudniejszych dni życia. Spojrzała na chrapiącego w najlepsze męża. Wiedziała, że nie ma sensu budzić mężczyzny przed jego własnym alarmem. Wyszła po cichu z pokoju i udała się prosto do kuchni.

Stojąc przy ekspresie do kawy, patrzyła jak kropelki napoju wpadają do szklanego naczynia. Nie wiedząc czemu przynosiło jej to ukojenie. Gdy naczynie było pełne – nalała sobie kawy do kubka. Sączyła ją przez dłuższą chwilę w zamyśleniu. Powinna obudzić Pawełka. Syn zawsze długo szykował się do wyjścia. Dzisiaj pewnie zajmie mu to jeszcze więcej czasu. Widziała, jak bardzo cierpiał po stracie babci. Kobieta dopiła kawę i udała się pod pokój dziecka. Westchnęła głośno.

— Witaj śpiochu, pora wstawać – wchodząc do sypialni syna, powiedziała to najbardziej radosnym głosem, jaki udało się jej wydobyć.

Nie patrząc na łóżko, podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Zapowiadał się słoneczny dzień. Wolałaby deszcz lub chociaż częściowe zachmurzenie. Słońce wydawało jej się niezbyt mile widzianym gościem na pogrzebie. Kobieta spojrzała na podwórko. Po powrocie z kościoła powinna uprzątnąć zabawki Pawła. Może spzeda kilka z nich? Chłopiec powoli wyrastał z niektórych pluszaków czy figurek superbohaterów.

— Paweł, wstawaj, musimy się szykować – kontynuowała budzenie syna.

Odwróciła się w stronę łóżka i zamarła. Martwy Paweł leżał w swoim łóżku. Wyglądał, jakby spał, choć miał rozwarte usta. Był ubrany w garnitur, który przygotowała na pogrzeb. Skóra chłopca wydawała się nienaturalnie blada. Dopiero, gdy mama podeszła bliżej, zrozumiała, że syn nie oddychał. Ogromne poczucie żalu i smutku przygniotło klatkę piersiową kobiety. Łzy same potoczyły się po policzkach. Wiedziała. Po prostu wiedziała, że powinna pochować matkę przed niedzielą. Zawsze ją ostrzegała, że tak się stanie.

Chłopiec ścisnął w dłoniach zdjęcie. Mama wyjęła mu je, łkając głośno. Przyjrzała się fotografii. Twarze dziecka i babci były zamazane czarnym flamastrem.

Zabrała mi go. Zabrała ze sobą.



KAROLINA KACZKOWSKA

ANNA LIZBET HANSA CHRISTIANA ANDERSENA JAKO UTWÓR GROZY

24

Nazwisko Andersena kojarzy się przede wszystkim z kanonem literatury dziecięcej, a na twórczości duńskiego pisarza wychowało się już wiele pokoleń. Kto z nas nie opłakiwał losów dziewczynki z zapałkami, nie współczuł brzydkiemu kaczątku czy nie kibicował odważnej Gerdzie? Zakwalifikowanie do literatury dziecięcej ma swoje zalety, ale i wady – z czego może wynikać mała dostępność, a przez to słaba znajomość, tych utworów Andersena, które do owego kanonu nie weszły. Sam autor nazywał swoje baśnie pudełkami. Warstwa zewnętrzna była skierowana do dzieci, a dorośli mieli zajrzeć do wnętrza.

Podstawową cechą baśni jako gatunku literackiego jest przewaga elementów fantastycznych nad realistycznymi, brak wyraźnych granic między nimi oraz podkreślanie stałej ingerencji sił nadprzyrodzonych w świat ludzi. Fabuła nie należy do skomplikowanych, ale zawsze zmierza do ukazania zwycięstwa dobra nad złem – w zgodzie z prostą, ludową wizją sprawiedliwości i moralności. Podobne cechy można wyróżnić w klasycznej literaturze grozy, choć pierwiastek fantastyczny w tejże musi być zdecydowanie mroczniejszy i makabryczny, by stworzyć odpowiednią atmosferę tajemniczości i wzbudzić strach. Wspólnym mianownikiem baśni i klasycznej grozy jest także przekonanie, że nie ma winy bez kary. Wszystkie te cechy można odnaleźć w utworze *Anna Lizbet*.

Na początku narrator przedstawia najważniejsze wydarzenia z życia tytułowej bohaterki oraz charakteryzuje ją w lapidarny i czysto realistyczny – czyli niecharakterystyczny dla baśni – sposób. Realizm w utworach grozy i horrorach jest natomiast bardzo istotny, bez niego nie uzyska się odpowiedniej iluzji rzeczywistości – koniecznej, by groza mogła odpowiednio zadziałać na odbiorcę. Czytelnik dowiadyuje się, że Anna była kobietą atrakcyjną, aspirującą do wyższej klasy społecznej niż wskazywało na to jej urodzenie, prowadząc dość bez troski tryb życia, w wyniku którego urodziła synka. Bohaterka zostawiła własne dziecko na wychowanie znajomym, a sama najęta się jako mamka w *zamku hrabiowskim*¹. Zainteresowanie synkiem ograniczyła do wpłacania drobnych kwot na jego utrzymanie, sama opływając w dostatki. Chłopak zginął tragicznie we wczesnej młodości, tonąc podczas pracy na szkunerze. Anna Lizbet tymczasem prowadziła dostatnie i szczęśliwe życie w mieście, aż któregoś razu postanowiła udać się w odwiedzinę do swego hrabiowskiego wychowanka.

Motyw powrotu do korzeni jest do dziś wykorzystywany w horrorze. Bohaterowie wracają dosłownie do miejsc lub, bardziej metaforycznie, do wspomnień, z własnej woli lub zostają do tego zmuszeni, zaś odkrycia,

¹ Wszystkie cytaty wg wydania H.Ch. Andersen, *Baśnie*, PIW, 1985 w tłumaczeniu Stefanii Beylin i Jarosława Iwaszkiewicza.



jakich w wyniku tego dokonują, przynoszą istotne zmiany w ich życiu. Anna Lizbet, przy okazji odwiedzin u hrabiostwa, wróciła także do chaty wyrobnika, któremu oddała na wychowanie syna. W tym momencie w baśni pojawiają się elementy grozy, będące jednocześnie pierwszymi motywami fantastycznymi w tym utworze: *Wielki, czarny kruk przefrunął jej drogę kracząc raz po raz*. Oczywista symbolika kruka, chyba najbardziej ikonicznego zwierzęcia gatunku grozy, wprowadza atmosferę niesamowitości i staje się zapowiedzią przyszłych wydarzeń. Od żony wyrobnika Anna dowiedziała się o utończeniu swego syna, który po chwili przyśnił jej się w koszarze, gdy na chwilę usnęła.

Aby dostać się znów do miasta Anna wyruszyła w drogę skrótem przez wybrzeże. W opisie przeżyć bohaterki nad morzem ujawniają się dwa istotne elementy charakterystyczne dla horroru i grozy. Akcja toczy się w nocy, która w tradycji europejskiej jest porą niebezpieczną i wrogą, bo to czas działania duchów. Ponadto Anna znajduje się w ciemności sama, a izolacja, pozbawienie bohatera możliwości kontaktu ze źródłami pomocy, to jeden z najważniejszych elementów konstrukcji fabuły grozy. W tym miejscu uwidacznia się także kunszt literacki Andersena w tworzeniu nastroju za pomocą opisu przyrody: *Słońce zaszło, dzwony wieczorne jeszcze dźwięczały – nie, to nie były dzwony, to były żaby, które rechotały w kałuży. Teraz umilkły, było zupełnie cicho, nie słychać było nawet głosu ptaka, wszystkie udały się na spoczynek, a sowa jeszcze nie powróciła do swego gniazda; ani jeden dźwięk nie odzywał się w lesie ani na brzegu morza, którędy szła. Słyszała chrzęst swoich*

*kroków na piasku. Nie słychać było nawet plusku wody, głębokie morze nie wydawało żadnego dźwięku, wszystko w nim było nie-
me – żywe i umarłe.*

Baśń jako gatunek literacki z definicji nie zawiera rozbudowanej psychologii postaci. Horror i groza natomiast ukazują ludzkie zachowanie w obliczu sytuacji nietypowych, przerażających, nawet ekstremalnych. Anna Lizbet, całkiem sama w ciszy i ciemności, mierzy się z demonami dotąd głęboko w niej ukrytymi – pod wpływem złego snu i rozmowy z żoną wyrobnika zaczyna mieć wyrzuty sumienia z powodu własnego dziecka. Rzeczywistość i złudzenia zaczynają zlewać się w jedno, kiedy samotna kobieta wędruje brzegiem morza, a w jej głowie ożywają lęki, jakich nie doświadcza w innych okolicznościach: *Były to tylko wodorosty i sitowie, ale jednak przerażenie w niej tkwiło i gdy szła dalej, zaczęła myśleć o tak wielu rzeczach, o których słyszała, gdy była dzieckiem, o tym zabobonie, o „upiorze wybrzeża” – duchu nie pogrzebanego, który leżał wyrzucony przez morze na samotnym brzegu – topielec, nieboszczyk, nie robił nic złego, ale jego duch – „upiór wybrzeża” siedł za samotnym wędrowcem, czepiał się go i żądał, żeby go zaniósł na cmentarz i pogrzebał w poświęconej ziemi.*

Spanikowana Anna, ścigana głosem martwego syna, proszącego ją, by go ze sobą zabrać i pochować, uciekała fizycznie, myśłami jednak nie mogąc oderwać się od teraźniejszości, która w bladym świetle księżycy zyskała nowe, groźne oblicze. Po drodze dręczyły ją widziadła i kruki unoszące się nad jej głową. Kobiecie wydawało się, że rozumie ich mowę – nazywały ją kruczą matką, co w folklorze duńskim odpowiada naszym



porównaniom do kukułki – wypominały niespełnienie matczynego, rodzicielskiego obowiązku. Anna dotarła na cmentarz, gdzie własnymi rękoma zaczęła kopać grób. Zgodnie ze zwyczajami ludowymi, których korzenie tkwią w pierwotnych wierzeniach, wobec zmarłego należy dopełnić pewnych rytuałów, by mógł zaznać spokoju po śmierci. W ten sposób zapewnia się także bezpieczeństwo żywym. Wierzenia te są elementem wspólnym baśni i grozy oraz nieodłącznym składnikiem wizerunku szeroko rozumianych duchów także we współczesnym horrorze.

Dreńczęce Annę upiory odeszły wraz z nastaniem dnia. Do tego czasu kobieta wykopała jedynie pół grobu. Po nocnym incydencie nad morzem rozchorowała się. Trapiło ją przekonanie, że połowa jej duszy znajduje się teraz wraz z jej dzieckiem pod wodą i dopóki nie skończy kopać grobu, nie stanie się z powrotem całością. Po roku męczarni uzyskała przebaczenie zarówno od syna, jak i od Boga i wreszcie zaznała spokoju w niebie.

Zakończenie *Anny Lizbet* jest mało charakterystyczne dla baśni, choć zło i tu zostaje pokonane przez dobro. Jedno i drugie natomiast nie zostało przedstawione w sposób typowy dla tego gatunku literackiego. Złem jest tu bowiem nie potwór, ani nie człowiek posiadający stereotypowo złe cechy. To ludzki postępki – zaniedbanie wobec dziecka, wybranie innych wartości niż te, które powinno się wybrać. Sprawiedliwość każe na siebie długo czekać, a skrzywdzonemu

chłopcu nie pomagają fantastyczne istoty czy mówiące zwierzęta. Syn *Anny Lizbet* zostaje upiorem i sam walczy o naprawienie doznanych krzywd, stając się siłą nadprzyrodzoną ingerującą w świat ludzi i karząc wyrodną matkę. Te rozwiązania fabularne, nietypowe dla baśni, zbliżają *Annę Lizbet* do utworów klasyków grozy: Poeogo, Bensona czy M. R. Jamesa.

Zarówno baśń, jak i klasyczne opowiadanie grozy, mogłyby się skończyć w momencie ukarania winnej śmiercią. Autor poszedł jednak dalej, przez co opowieść ta kończy się podwójnie dobrze. Wizja Boga przenikająca rozmaite baśnie Andersena jest niezwykle optymistyczna i ciepła, to faktycznie obraz miłości, wyrozumiałości i przebaczenia. Anna Lizbet, ukarana za spowodowanie nieszczęść swojego dziecka, po zrozumieniu swego postępków i odkupieniu go, może dostąpić zbawienia. Wprowadzanie konkretnego, chrześcijańskiego Boga do baśni jest charakterystyczne i unikalne dla Andersena oraz niepoddyktowane żadnymi wymogami gatunkowymi. Nie wymaga tego również konstrukcja utworu grozy.

Baśnie i zgromadzone w nich bogactwo motywów, archetypów i wątków leżą u podstaw współczesnej fantastyki, zwłaszcza takich jej odmian jak fantasy i horror. Mimo ewolucji, jaką przeszła groza od początków swego istnienia, ślady baśni wciąż da się w niej odnaleźć – nawet jeśli nie zostały one wyłożone wprost.





ANNA MUSIAŁOWICZ

STUDNIA

Dzień był słoneczny i gorący – choć upał nie wydawał się uciążliwy. Pszczoły bzyczały leniwie, mrówki poruszały się w zwolnionym tempie. Wiatr delikatnie kołysał gałęziami krzewów, uginającymi się od nadmiaru porzeczek i agrestu. Jedna nawet chmura nie burzyła spokoju błękitnego nieba. Mężczyzna leżał na trawie oparty plecami o starą, nieczynną od lat, studnię. Brudna, rozdarta, pozbawiona kilku guzików koszula okrywała jego tors: pomarszczony, choć pod zwiędłą skórą zarysowywały się silne jeszcze mięśnie. Mężczyzna obejmował ramionami kobietę. Tulił ją do piersi, a w swojej dłoni trzymał jej dłoń, obracając obrączkę na serdecznym palcu kobiety. Miał podobną, tylko dwa rozmiary większą. Twarz mężczyzny była rozluźniona, choć wciąż widoczne były na niej ślady niedawnego wysiłku. Kobieta miała wzrok pusto utkwiony w niebo. W przeciwieństwie do mężczyzny milczała.

27

— Widzisz, Natalio, taki piękny dzień — pogłodził kobietę po niemłodej już twarzy — A ty w końcu nie psujesz go swoim gładzeniem. Mamrotaniem... Jazgotaniem. Tak bardzo lubisz, mówić, kochana moja. Gadasz wciąż i wciąż... I wciąż. Ale twoje słowa są puste jak ta studnia

Wyswobodził kobietę z ramion, wstał. Ciężko oparł się cembrowinę. Wiadro zakołysało się na łańcuchu.

— Żono! Żono! — Nachylając się nad okrągłym wlotem studni, zawołał.

— Ono... Ono... — odezwała się studnia. Echo odbijało się od betonowych ścian.

— Widzisz, Natalio, takaś sama. Moje słowa odbijają się echem, zniekształcone. Studnia nie słucha, jak i ty. Przeinacza to, co mówię. I odpowiada bez sensu. Jak ty. A ty w końcu milczysz, Natalio. Spójrz, jaka brzydka w środku jest ta studnia. Ciekawe, jakie robactwo w niej siedzi. A co w tobie tkwi, moja Natalio? Ty też jesteś taka brzydka w środku.

Mężczyzna przykucnął przy kobiecie. Nie bez wysiłku wziął ją na ręce.

— Widzisz, żono? Jak w dniu naszego ślubu! — zaśmiał się radośnie. Włosy kobiety rozsypały się w nieładzie — Natalio, mówiłaś mi, że osiągnąłem dno. Żono moja, bądź zatem, gdzie i ja! Na dobre i na złe! — rzekł, wrzucając bezwładne ciało w głąb studni. Uderzenie o dno było ciche.

Mężczyzna nakrył studnię drewnianym wiekiem. Wiadro zakołysało się poruszone wiatrem. Pszczoły bzyczały jednostajnie. Krew wsiąkała w trawę.





DAGMARA ADWENTOWSKA

TRZECI

28

Znieba siąpiło niemiłosiernie, las za domem brunatniał niemal w oczach. Drzewa nie słyszały o złotej jesieni, ich liście przybierały nieprzyjemne szaro-bure barwy, czasem naznaczone cętkami, jakby oznaką choroby. Chyliły się, tak jak się staniał dom i stodoła gospodarstwa moich rodziców. One tutaj, a matka w szpitalu – coraz bardziej kurczyła się i zapadała w sobie. Coraz rzadziej poznawała mnie, gdy przychodziłem ją odwiedzić. Coraz częściej wspominała młodość, sukienki dawno znoszone i pocięte na szmaty, przebizmiałe przeboje, ludzi zmarłych lata temu.

Nozdza drażniła wilgoć i woń gnijącej ściółki. I smrodek kociej karmy, nie do pomylenia z czymkolwiek innym. Kółeczka, kwadraty i stożki w bladych odcieniach zieleni, czerwieni i brązu z chrzęstem wypełniały miskę. Utworzyły nieduży kopczyk, bo wolałem, żeby ostatni z pupili matki nażarł się na zaś. Nie mogłem przyjechać wcześniej niż za tydzień; ale kot jak to kot – przecież sobie poradzi. Napełniałem miskę co kilka dni tylko ze względu na matkę.

Ledwo kojarzyłam mnie z bratem, ojciec był dla niej dwudziestoletnim postawnym brunetem z wypielęgnowanym wąsem, a nie siwym jak gołąb staruszką, którego dziesięć lat temu pochowaliśmy na miejscowym cmentarzu. Nie pamiętała, gdzie schowała testament i czy w ogóle jakiś napisała... ale kot i jego potrzeby wryły jej się w pamięć pazurami! Za każdym razem, gdy siadałem na jej łóżku, gdy robił to mój brat, lekarz czy jedna z pielęgniarek, zaciskała kurczowo dłonie na ręce przybyłego i zalewając się łzami prosiła, by nakarmić Trzeciego, by uchylić dzwi stodoły, aby mógł się schować przed słotą, położyć mu koc na sianie, wystawić miskę z mlekiem...

I właśnie to wszystko zrobiłem, schowałem worek z karmą w sionce i wsunąłem klucz w zamek w drzwiach, gdy zdałem sobie sprawę z idiotyczności mojego zachowania.

Od lat nie widziałem Trzeciego. Właściwie, po zastanowieniu odkryłem, że nie jestem w stanie odnaleźć w pamięci jego wyglądu, koloru sierści, żadnej jego psoty, niczego, co byłoby z nim związane, oprócz miski z imieniem „Trzeci”, wypisanym przez matkę i poprawianym kilkukrotnie, gdy tusz zbladł.

Właściwie, po zastanowieniu, to chyba nigdy tego kocura nie widziałem. Z mozołem, ale potrafiłem wyciągnąć z pamięci sylwetki smukłych, łownych kotek, które składały na ganku myszy i ptaki, a w drewni rodziły i odchowwały stada kociąt. Wszystkie kotki matki nosiły imię Dobrusia. Wszystkie korzystały z tej samej metalowej miski, teraz kurzącej się na regale w sionce, po tym jak ostatnią Dobrusię przejechał samochód trzy lata temu i mama nie wzięła już następnej kotki. W domu zawsze był też kocur – i nieodmiennie nosił imię Piecuch. Wszystkie Piecuchy trzymały się blisko kuchni, przez co rozrastały się pokaźnie. Wieczorami wpychały w nogi łóżka rodziców, a w dzień czyhały



na powracające z łowów Dobrusie i po krótkiej walce odbierały im myśliwskie trofea. Ostatni Piecuch, wielki, smolisty diabeł, zniknął zeszłej zimy.

I tylko żadnego Trzeciego nie mogłem sobie przypomnieć – ani obecnego, ani żadnego z poprzednich.

* * *

– Bo nie było nigdy żadnego takiego kota – prychnął Szymek z drugiego końca linii.

Trzeci, choć niewidziany podczas krótkiej wizyty w gospodarstwie rodziców, nie dawał mi spokoju. Chyba właśnie przez tę swoją nieobecność. Nie pojawił się teraz, niewidziany nigdy wcześniej, nieistniejący we wspomnieniach. Zadzwoiłem do brata ze stacji benzynowej przy wjeździe na autostradę. A ten, oczywiście, na wszystko miał proste wytłumaczenie.

29

– Jeśli potrzebowałeś dowodu, że nasza mamusia zaczęła świrować na długo przed tym, jak pozapominała naszych imion, oto i on! Uroiła sobie, tego trzeciego kota, cholera wie dlaczego. Czterdzieści lat karmiła swój wymysł gotowanymi wątróbkami i białą kiełbasą. Okoliczne lisy na pewno są jej wdzięczne i modlą się w intencji jej powrotu...

– Nigdy nie widziałem lisa blisko domu – przerwałem mu.

– Bo nie biegały za żarciem, skoro im co wieczór wątróbka spadała z nieba do michy – prychnął znowu Szymek – Nie mów, że dokarmiasz tych roznosicieli wściekliczny?

– Matka prosiła... – zacząłem.

– Mnie też prosiła, Marcinku. Powiem ci więcej, obiecałem jej solennie i uroczyście, że co drugi dzień podroby, a co czwarty kiełbasa lub kurczak. Ale ona, Marcinku, robi pod siebie i myśli, że ma osiemnaście lat, a jestem kawalerem uderzającym do niej w zaloty.

– To znaczy, że gdy wypada twoja kolej, to nie karmisz tego cholernego kota? – spytałem wolno, i nie wiedzieć czemu, poczułem wstyd. Za brata. I żal. Wobec starego, niedołęznego już pewnie kota, który polować już nie mógł, i z nadzieją przychodził na ganek, zaglądał do miski... a ta miska była pusta.

– Nasza matka ma demencję – przypomniał Szymek urażonym tonem – Naobiecuję jej, co mi do głowy przyjdzie, żeby się uspokoiła, ale nie dam sobą rządzić. Ty też nie powinienes, bo te rojenia prowadzą donikąd.

Postanowiłem powrócić do kwestii zasadniczej.

– Czyli nigdy nie widziałeś Trzeciego?

– Chryste Panie! – warknął Szymon i rozłączył się. Kolejnych telefonów już nie odbierał.

* * *

Mężczyzna w zielonej kurtce i gumiakach kręcił się na granicy naszego pola już kiedy przyjechałem. Gdy obszedłem ogród i wróciłem do kuchni, by zaparzyć sobie kawę, przez okno zobaczyłem, że wbija paliki na miedzy. Postanowiłem przepytac intruza, bo zachowywał się dziwnie... a z bliska okazało się, że owa dziwaczność śmierdzi wyjątkowo podejzanie.

Na szczycie palików mężczyzna poprzywiązywał kawałki gąbki i nastrokiwał je płynem ze stzykawkki... Cuch szedł od tych instalacji tak niemożliwy, że pociemniało mi w oczach.



— A, syn starej Paszkowskiej? Marcin czy Szymon? — Intruz tymczasem zauważył moją obecność.

— Marcin — odparłem odruchowo. — A pan to kto?

— Wierchulski. Sąsiadami przecież jesteśmy — Wskazał na odległe gospodarstwo — Zapomniało się, co? No nie dziwota, całe lata się nie widzieliśmy... a u matki co słychać?

Co miałem odpowiedzieć? Że umiera? Że ona to już go na pewno nie pamięta, skoro zapomniała własnych synów? Że jedyną jej troską jest nieistniejący kot?

— Lekarze robią, co mogą — odrzekłem oględnie.

— Nie wróci — ocenił sobie Wierchulski, kiwając głową — A na pewno nie wróci szybko. To i wam wokół sadu i domu popryskam, żeby cholerniki nor nie założyły.

30 — Jakie cholerniki?

— Lisy. W zeszłym tygodniu trzy kury, psie syny, mi z kurnika zamkniętego porwały. W rowie za domem rozerwały na szcępy. Wy bliżej lasu, nie widziałeś, gdzie norę mają?

— Nie... — odparłem wolno — Nie widziałem nigdy u nas lisa.

Ale przeszedłem się raz jeszcze wokół gospodarstwa. Nie mignęła mi jednak nigdzie ruda kita. Nie znalazłem też żadnych śladów, choć, po prawdzie, nie umiałbym ich odróżnić od psich. Czy kocich...

Trzeci zaś – nadal nieobecny i w tym podobny do lisów-złodziei, że także pieczołowicie nie zostawiał śladów – wzgardził suchą, kolorową karmą. Przypomniało mi się, że matka Szymkowi przybliżyła dokładnie dietę Trzeciego, i pojechałem do sklepu po podroby. Dziś kota czekała prawdziwa uczta.

Gdy wychodziłem z ganku – tknięty dziwnym impulsem wróciłem do kuchni, z szafki wyjąłem plastikowy, porysowany pojemnik. Wokół pełnej miski rozsypałem hojnie mąkę; równą, grubą warstwą.

Nie mogłem wyzbyć się wrażenia, że gdy odjeżdżałem, ktoś odprowadzał mój samochód wzrokiem – czekając, aż światła reflektorów znikną za wzgórzem.

* * *

Wierchulski był niepokieszony i głośno dawał temu wyraz, wygrażając pięścią to ku niebu, to ku ziemi – zapewne niewidzialnym, poukrywanym w norach lisom. Spotkałem go wędrującego drogą wiodącą pod las. Na mój widok zszedł z pobocza na sam środek asfaltu, zablokował mi przejazd i oczekiwał, że wysłucham opowieści o jego porażce i wyrażę stosowne współczucie i poparcie wobec dalszych działań. Tyle że nie mogłem.

Cuchnące gąbki na tyczkach nie zdały egzaminu. Lisy za nic sobie miały przerażający fetor, podobno specjalnie dobrany, by odstraszał i zniechęcał do odwiedzin właśnie ich gatunek. Sąsiad stracił kilkanaście kur i poniekąd rozumiałem jego wściekłość. Ale nie mogłem nie zaprotestować.

— Jak to: trutkę? Przecież to zatrute mięso może zjeść czyjś pies... albo dziecko!

— No przecież powiem sąsiadom, żeby kundle powiązali i bachorów pilnowali, nie?

Wierchulski oparty oburącz o drewniane żerdki splunął na moją stronę płotu.



— A cholerniki to wykończy na amen.

— Ktoś obcy tu może przyjechać z psem na spacer... a do tego kotów przecież nikt na łańcuchu nie trzyma – argumentowałem.

— Kto by się tam, panie, kotem przejmował. Tyle się tego rodzi każdej wiosny, że jak się kilka otruje, to żałoby narodowej nie będzie.

Moja matka się przejmuje – pomyślałem zniechęcony i bezradny. W ostatnim odruchu lojalności wobec złożonych jej obietnic postanowiłem kupić żywołapkę. Podłożę w niej wątróbkę i złapię Tzeciego, choćbym miał spędzić w pustym domu cały weekend.

Zostawiłem sąsiada snującego się po polu i planującego szczegółowy lisiego holokaustu. Przeszedłem przez podwórko zarośnięte trawą i chwastami i zamarłem na ganku z klucami w dłoni.

Miska Tzeciego była pusta, a mąka wokół zdeptana licznymi śladami. Zbyt dużymi na kota czy lisa.

* * *

Dom w nocy stukał, trzeszczał i jęczał, jakby ze starości coś go bolało. Las szemrał schnącym martwym listowiem... Niby cisza, a jednak pełna dźwięków. Niby co chwila jakiś odgłos, stuk czy szelest – ale gdy u Wierchulskich rozszczękał się pies, podskoczyłem przestraszony gwałtownością jego ujadania.

Żywołapka stała z boku podwórza, niedaleko stodoły. Wygasilem wszystkie światła w pustym, martwym już domu, który czekał, aż moja matka umrze. Ja zaś czekałem na Tzeciego.





Wsluchiwałem się w stuki i szelesty, oczy wpatrywałem w ciemność. Kilka razy zdało mi się, że w mroku coś się porusza... Później zelektryzowały mnie odgłosy kroków za domem, gdzieś od strony sypialni wychodzącej na ogród. Ciarki przebiegły mi po plecach; byłem tu przecież sam, do gospodarstwa Wierchulskich był spory kawałek. Ktoś mógłby tu przyjść i zrobić... zrobić wszystko właściwie.

Krok i krok, i kolejne ostrożne stąpienie. Miękkie, ale nie kocie, koty chodzą przecież prawie bezgłośnie. Przełknąłem ślinę i ruszyłem do sypialni. Otwarłem okno gwałtownie, strzeliłem snopem światła z latarki po pniach jabłoni i grusz.

Nic, cisza.

32 Musiało mi się wydawać. A jednak nie mogłem sobie wybaczyć, że zostawiłem matkę samą w domu pod lasem, z dala od ludzi, tylko w towarzystwie być może wyimaginowanego kota. Nic dziwnego, że zaczęła tracić zmysły.

Zasnąłem z czołem opartym o kuchenny parapet między doniczkami zasuszonych pelargonii. O świcie poszedłem pod stodołę. Łapka była wywrócona, a przynęta wyjedzona. Tylko Trzeciego nie było. Może Wierchulski miał rację, pomyślałem, gdy parzyłem sobie kawę, która mnie miała postawić na nogi przed powrotem. Może to tylko lisy...

Ze szpitala zadzwonili, gdy się goliłem.

— Proszę przyjechać. Jest bardzo źle.

W tle słyszałem zawodzenie, tak samo jęklive i zawodzące jak wiatr gwizdzący w nocy na poddaszu naszego starego domu.

— Trzeba nakarmić Trzeciego. Powiedźcie, żeby karmili Trzeciego!

Zdążyłem do szpitala, by potrzytać ją za rękę. Patrzyłem, jak gaśnie w niej życie i chciało mi się płakać. Nad nią, bo nie przypominała już energicznej kobiety, bo choroba zeżarła wszystko, co było nią. Nad sobą samym, bo choć siedziałem przy jej łóżku i szeptałem kojące słowa, nie poznała mnie. Nad Szymkiem, którego nie wspomniła ani słowem. I nad tym jej kotem, który teraz dla wszystkich był kłopotem. Jedyne, co pamiętała.

— Jest taki maleńki, taki ufny, nie umie zadbać o siebie. Karmijcie Trzeciego, karmijcie Trzeciego... on lubi wątróbki.

Zmarła przed wieczorem, tuląc moją dłoń do policzka.

* * *

Właściwie nie wiem, po co pożyczyłem furgonetkę. Które z ciężkich, starych mebli z domu rodziców miałbym upchnąć w swojej kawalerce w mieście? Nieporęczną, kanciastą komodę? Kuchenny kredens ze szklanymi szufladkami na przyprawy i rysą na drzwiczkach (w miejscu, gdzie w zabawie z Szymkiem jako dzieci drasnęliśmy drewno pogrzebaczem)? Jednak chciałem zabrać coś, zachować dla siebie milczących świadków dawno minionego dzieciństwa. Szymon przyjechał ze mną, niby dla towarzystwa, ale z tym samym zamiarem, nawet jeśli nie do końca uświadomionym. Zniknął w ciemnych, zakurzonych celuściach strychu i raz na jakiś czas wynurzał się, obarczony oblepionym pajęczynami pudłem czy skrzynką.



Trącona jego stopą, z brzękiem potoczyła się po betonowej wylewce ganku miska z imieniem Tizeciego. Podniosłem naczynie z nagłym ukłuciem w sercu.

— Szymek, karmiłeś kota? — rzuciłem za bratem.

Wymamrotał coś tylko, niewyraźnie i chyba obraźliwie.

— Karmiłeś? — zapytałem głośniejszym głosem.

Odstawił pudło, brzęknęły poruszone stare ozdoby choinkowe, na trawę wypadł mikołajek w przybladłym filcowym ubranku.

— Byłeś u lekarza?

— Po co?

— Bo zaczynasz zachowywać się jak matka.

— Idź w cholerę — odpartem od serca. Z miską w dłoni usiadłem na ławce przed gankiem. Tępo patrzyłem przed siebie, na otwarte jak szeroko wrota stodoły, przez które Wierchulski z synem wynosili bele słomy i siana. Pozwoliłem im na to, sam poprosiłem, by wzięli, co uznają za przydatne. Dlaczego ostatnia praca rąk mamy miałyby pójść na marne? Niech biorą, i niech to wszystko skończy się jak najszybciej.

I skończyło się szybko. Ale nie tak, jak się spodziewałem. Nie tak, jakbym chciał.

— Panie Marcinie! — wrzasnął sąsiad ze stodoły, a po chwili wypadł na podwórze. Twarz miał siną i oczy wytzeszczone ze zgrozy. Za nim wybiegł jego syn, również blady jakby ducha zobaczył.

— Tam, tam... — wydukał Wierchulski. — W rogu za traktorem, w sianie!

Ruszyłem pomału. Im bardziej zbliżałem się do wskazanego miejsca, tym mocniej czułem zapach przebijający się przez woń słomy i siana. Smród wymiocin i gnijącego mięsa. Zapach śmierci.

Leżał w legowisku uwitym w sianie, na starym kocu. Skurczony, z podwinętymi kościstymi nogami, jakby w embrionalnej pozycji szukał ulgi w bólu. Cierpienie widać było w każdym rysie zniekształconej twarzy, bardziej podobnej kociej niż ludzkiej. Wokół ust zaschły mu wymiociny i krew. Obok leżała zabawka – wymięty, stary pluszak, w którym rozpoznałem własnego misia z dzieciństwa.

— O Boże... — jęknął Szymek, stając za mną — Jakiś bezdomny... nie żyje?


— Musiał się nażreć tego mięsa na lisy, które wyłożyłem — oznajmił ponuro i cicho Wierchulski, który zebrał się w sobie i wrócił do stodoły.

— Nie żyje — potwierdziłem głucho. — I nie, nie bezdomny.

Wskazałem na pierś brata, unosząc się w spazmatycznym oddechu:

— Pierwszy. — Położyłem dłoń na swoim czole, nagle rozpalonym jak piec — Drugi...

Leżał tam nadal. Zwinięty w kłębek cierpienia, zniekształcony, uśmiercony dla ludzi przez matkę za życia. A jednak tylko o nim pamiętała do samego końca. Jej wyrzut sumienia; a teraz i mój.

— Trzeci. On był trzeci. 



GRZEGORZ SZCZEPANIAK

HORROR PO PRL-OWSKU, CZYLI: PRZEPRASZAM, ALE PANA WZROK TKWI W MOIM BIUŚCIE

34

Kino gatunkowe jakoś nigdy się w Polsce dobrze nie miało. Trudno powiedzieć, z czego wynika jego słabość. Być może główną rolę odegrało przekonanie, że prawdziwa sztuka to dramat psychologiczny, społeczny, od biedy historyczny; wielkie tematy, ważne idee – tak, jakies tam historyjki – niekoniecznie. Podobnie przecież rzecz się miała z literaturą, gdzie całe dziesięciolecia najbardziej nawet bełkotliwy, byle głównonurtowy, tekst ceniony był wyżej niż mistrzowsko poprowadzony kryminał czy prawdziwie wizjonerska fantastyka. I o ile w kinie trafiały się jeszcze filmy sensacyjne czy kryminalne – zwłaszcza wtedy, kiedy odpowiadały na zamówienie czynników wykładających kasę na produkcję – o tyle fantastyka pojawiała się niezwykle rzadko. Najlepszym zaś komentarzem na temat stosunku aparatu partyjnego do niej są losy filmu *Na srebrnym globie*.

Inną kwestią pozostaje fakt, że polskiemu filmowi niemal zawsze brakowało odpowiednich funduszy na scenografię i efekty specjalne, a fantastyki nie da się kręcić w naturalnych sceneriach i przy użyciu najprostszych tricków; chyba że jest się Edem Woodem. Poza tym wydaje mi się, że zarówno polscy reżyserzy, jak i aktorzy, nie byli kształceni na potrzeby sztuki popularnej. Jeszcze w komedii to mogliby robić, ale jak grać pilota Pirxa czy nieustraszonego pogromcę wampirów – tego się na swoich studiach nie dowiadrywali.

Dziś ta sytuacja trochę się zmieniła; ale mój felieton, podobnie jak poprzedni, zabierze Was w mroczne czasy PRL, by przyjrzeć się wybranym dziełom kina grozy i nie tylko kina. Ale nie sprzedajmy faktów...

Filmowy horror znany był już kinu niemieckiego, a obrazy takie jak *Nosferatu*. *Symfonia grozy* czy *Frankenstein* są dziś filmową klasyką. Pierwsze filmy grozy powstały w Polsce przed II wojną światową, ale kopie nie przetrwały niemiecko-radzieckiej misji kulturalnej prowadzonej na naszych ziemiach w latach 1939–1945. Po roku 1945 kino miało ważniejsze zadania niż zabawianie widzów opowieściami o duchach i wampirach – więc na pierwsze horrory, jeśli nie liczyć telewizyjnych nowelek z lat 60., musieliśmy czekać aż do lat 70. XX wieku.

Tytuł, który w tym zestawieniu pojawia się jako pierwszy, to **Lokis. Rękopis profesora Wittembacha** (1970, reż. Janusz Majewski). Fabuła rozgrywa się na Litwie w XIX wieku. Ewangelicki pastor i językoznawca poszukuje zabytków tamtejszego piśmiennictwa i zaprzyjaźnia się z hrabią Szemiotą, ekscentrykiem i właścicielem imponującej biblioteki starodruków. Jego matka straciła rozum po ataku niedźwiedzia, a opiekujący się nią doktor Froeber podejrzewa, że hrabia może być owocem tej napaści. Historia brzmi niewiarygodnie, ale coraz więcej znaków wskazuje na to, że tkwi w niej ziarno



prawdy. Szemiot zakochany jest w pannie, którą pastor miał już okazję poznać; a ponieważ nie ustaje w wysiłkach, by zdobyć jej rękę, do ślubu w końcu dochodzi. Udziela go sam Wittembach, ale noc poślubna kończy się tragedią: panna młoda zostaje znaleziona w kałuży własnej krwi, na śniegu widać ślady olbrzymiego niedźwiedzia, gospodarz zaś znika bez wieści. Pytanie „kto zabił?” pozostaje bez jednoznacznej odpowiedzi. Film jest urokliwy, nastrój tajemniczości narasta, atmosfera gęstnieje, napięcie rośnie. Niedźwiedzia łasego na damskie wdzięki nie widzimy ani przez sekundę (amerykanie by sobie takiej gratki zapewne nie odpuścili), w zamian mamy za to nastrojowe grafiki Franciszka Starowiejskiego, towarzyszące opowieści doktora o przypadku hrabiny. Oto dowód, że nawet bez angażowania wypasionych efektów można opowiedzieć

historię, która będzie trzymać widza w napięciu. Osobną sprawą jest to, czy go przerazi – ale filmowa groza nie zawsze musi straszyć. Podstawowym wszak jej zadaniem jest poddanie w wątpliwość przeświadczenia o racjonalności świata przedstawionego i niezmienności praw nim rządzących. W tej roli *Lokis* wypada znakomicie.

Kolejnym tytułem związanym z tematyką tego numeru CK jest *Wilczyca* (1982; reż. Marek Piestrak). Film cieszył się ogromną popularnością, w kinach obejrzało go około 2 mln osób, a potem parokrotnie emitowała go telewizja, gdzie i ja pierwszy raz go obejrzałem. Niezwykłość tego obrazu wynika z połączenia tematyki historycznej (a wręcz narodowowyzwoleńczej, bo fabuła rozgrywa się w czasach, kiedy Polska jest pod zaborami) z opowieścią grozy – i to nie byle jaką. Maryna, umierająca żona Kacpra Wosińskiego, byłego powstańca z 1848 roku, przeklina go i obiecuje, że znajdzie go po śmierci. Okazało się bowiem, że – zaniechana – nie tylko prowadziła się lekko, ale zaczęła także parać się czarną magią (przy trupie Maryny Kacper znajduje wilczą, bodajże, łapę). Jego brat Mateusz przed złożeniem trumny do ziemi przebija trupa osinowym kołkiem, ale spokój kupuje Kacprowi nie na długo. Ten opuszcza swój majątek i najmuje się jako zarządca u swego powstańczego dowódcy, gdzie pewnego dnia dostrzega z okna waderę. Niedługo potem hrabia musi w trybie pilnym opuścić swój dwór i zostawić młodą, piękną żonę Julię. Ta zresztą wcale się tym faktem nie przejmując, od dawna bowiem nie ma z dojrzałego męża pożytku, zaś swoje potrzeby realizuje w ramionach francuskiej przyjaciółki. Do



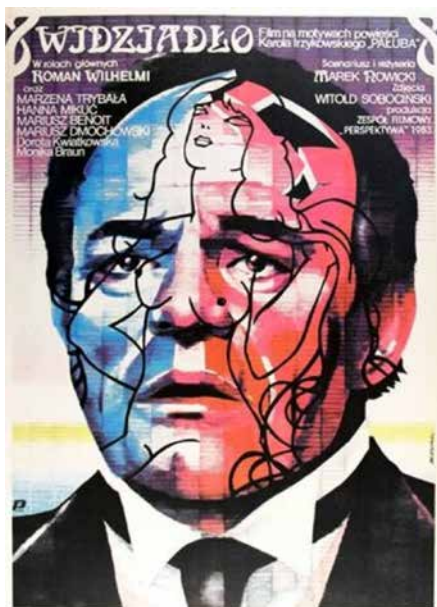
36

majątku przyjeżdża były kochanek hrabiny – austriacki oficer, a zachowania arystokratki stają się coraz bardziej niepokojące. Kiedy Wosińskiego odwiedza brat, przynosi wiadomość, że grób przeklętej został zniszczony w czasie jakiejś potyczki z huzarami i kołek musiał wypaść z jej truchła. Od tego czasu rodzinny dwór jest nawiedzany przez upiora Maryny (całkiem udana charakteryzacja), a Kacper, oglądając dagerotyp żony, dostrzega jej uderzające podobieństwo do arystokratki. Wszystko staje się jasne. Przy pomocy doktora Goldberga, lekarza studiującego także wiedzę tajemną, przygotowuje srebrną kulę odlaną w święconej wodzie i rozprawia się z opętaną Julią, jej kochankiem oraz dwoma huzarami, którzy odpowiedzieli na wezwanie o pomoc (jednemu z nich odcina szablą przedramię dokładnie tak, jak Obi-Wan w kantynie Mos Eisley).

Hrabinę pochowano w niepoświęconej ziemi, dlatego powracający z zagranicy wdowiec postanawia przenieść ją na cmentarz. W czasie ekshumacji chce jeszcze raz spojrzeć na żonę, ale w otwartej trumnie znajduje się szkielet wilczycy.

Film Piestraka jest nierówny, tempo ma rwane, a nastrój grozy rozwiewany przez dziwaczne wtręty i retrospekcje. Niemniej zacieśniający się wokół Wosińskiego krąg zła (świetna scena z polowania na waderę, zakończona pojawieniem się Julii bandażującej sobie świeżo zranioną dłoń, a także obrzędów przypominających voodoo odprawianych przez Goldberga) oddany jest na tyle sugestywnie, że potrafi utrzymać uwagę widza. Mimo że jednym z jego źródeł jest kobieca rozwiązłość – nagość w tym filmie niemal nie występuje. Owszem Julia (Iwona Bielska) prezentuje się kilkakrotnie w dezabli, ale nigdy nie odsłania swoich wdzięków, dając wyobraźni oglądającego szansę na wypełnienie miejsc niedopowiedzenia. Z drugiej jednak strony atmosfera erotycznego napięcia towarzyszy każdej scenie z udziałem hrabiny. Piestrak potrzebuje jej, by uzasadnić opętanie Julii przez ducha Maryny, która prowadziła się równie lekko. Nie ma też co ukrywać: gra nią także pod publiczność, o czym świadczy frekwencyjny sukces, który do dziś robi wrażenie. Film jako całość jednak się broni – i, choć nie porywa, to jest zupełnie przyzwoitą produkcją.

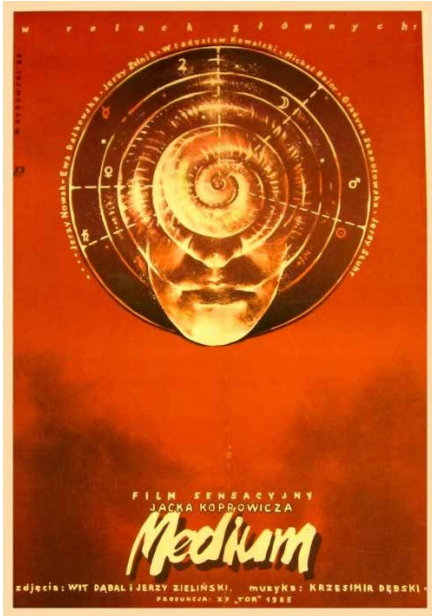
Obrazem, do którego – zupełnie mylnie – doczepiono łatkę horroru jest **Widziadło** (1983, reż. Marek Nowicki). Tak naprawdę to swobodna adaptacja młodopolskiej powieści Karola Irzykowskiego *Pałuba*. Kto kiedykolwiek ją czytał, ten wie, że nie jest



to lektura łatwa i przyjemna, a w gęszczu wątków i przenikających ją idei (do dzisiaj nie rozumiem, czym jest *pierwiastek pałubiczny*) łatwo się pogubić. Niemniej historia Piotra Strumieńskiego prześladowanego wspomnieniami o swojej pierwszej, tragicznie zmarłej żonie, które kładą się cieniem nad jego dalszym życiem, opowiedziana jest dosyć przejrzyście. Mamy tu do czynienia z dramatem psychologicznym, w którym jedynym elementem fantastycznym jest porażające widmo Angeliki, która zapowiedziała mężowi, że nie zazna szczęścia z inną kobietą. Mimo tego Piotr żeni się ponownie, ale pocieszenia w nowym związku nie znajduje; tym bardziej że żona nie dochowuje mu wierności. Nad filmem unosi się aura tajemniczości, wzmacniana przez specyficzne zdjęcia (prześwietlone, odrealniające fotografowaną rzeczywistość). Całość sowiec

okraszona jest zmysłową erotyką (mamy tu zarówno kazirodztwo, jak i seks nieletnich, że o zdradach małżeńskich nie wspomnę), ale grożą wieje tylko od popadającego w coraz większy obłęd Strumieńskiego (genialny Roman Wilhelmii!!!). Czy psychiczna choroba bohatera – wpływająca na jego postrzeganie świata, ale nienaruszająca praw opisywanej rzeczywistości – wypełnia definicyjne przesłanki horroru? Raczej nie. W każdym bądź razie nie dla mnie. Gdyby powodowała ona odkształcanie otaczającego go świata, to wtedy rozmowa byłaby zupełnie inna; ale Marek Nowicki na taki zabieg się nie zdecydował. Co się odwlecze, to jednak nie uciecze!

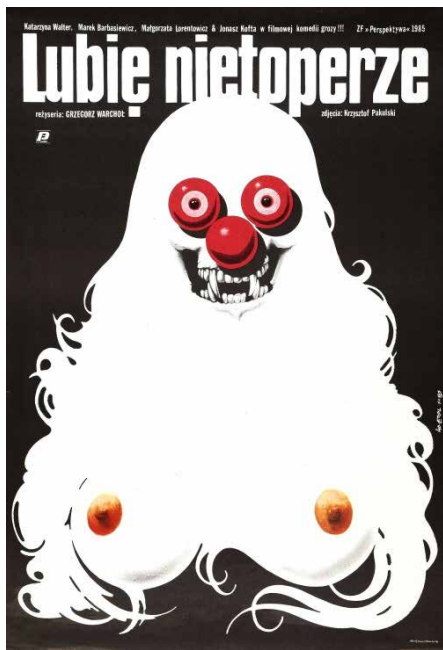
Za najlepszy polski filmowy horror uchodzi **Medium** (1985; reż. Jacek Koprowicz). Jego fabuła rozgrywa się w Wolnym Mieście Gdańsku, kręcony był głównie w Gdańsku i Sopocie, a główną rolę zagrał zmarły niedawno Władysław Kowalski (aktor debiutujący na deskach Teatru Wybrzeże) – to dodatkowe atuty tego dzieła, o których na łamach gdańskiego fanzinu nie sposób nie wspomnieć. Głównym tematem filmu jest okultyzm, a dokładniej jego praktyczne zastosowania. W roku 1897 w sopockiej willi Stefana Orwicza doszło do straszliwej tragedii, w wyniku której zginęli cierpiący na cukrzycę właściciel, jego żona, lekarz i służący, a przeżył jedynie nieletni syn. W roku 1933 Sopot staje się świadkiem serii niewytłumaczalnych wydarzeń, w których biorą udział przypadkowe osoby. Jedną z nich jest komisarz policji Selin, który próbuje rozwikłać ich zagadkę, w czym pomaga mu młody asystent Krank (Michał Bajor) – karierowicz i członek partii nazistowskiej w WMG. W wyniku śledztwa Selin odkrywa, że pozornie obcy



sobie ludzie niezwykle przypominają ofiary zbrodni sprzed 36 lat oraz że syn Orwicza jest śmiertelnie chory. Odrzuciwszy co niemożliwe – poznaje nieprawdopodobną prawdę: za wszystko odpowiedzialny jest umierający – który, wykorzystując swe mediumiczne zdolności, pragnie cofnąć się do czasów swego dzieciństwa. Błaha z pozoru sprawa staje się rozgrywką, której stawką jest życie czterech osób. Co więcej: również gdańskie NSDAP, za sprawą Kranka, zaczyna się interesować Orwiczem (na temat okultystycznych źródeł nazizmu powstała już cała masa publikacji, ale w roku premiery *Medium* była to kwestia niezbyt znana). Film nagrany jest precyzyjnie, atmosfera niesamowitości narasta z każdą sceną, do tego wspaniałe zdjęcia, dekoracje i kostiumy starannie oddające rzeczywistość WMG z lat 30. XX wieku (zadbano nawet o takie duperele, jak kafelki na ścianach

tunelu zopockiego dworca – swoją drogą, w 1985 w Sopocie już ich nie było, a z tego, co pamiętam, pozostały jedynie w Oliwie). Truskawką na torcie jest erotyczna scena między nieznanymi odgrywającymi rolę lekarza Orwicza i jego żony, przerwana nagłym wtargnięciem zastępczego zazdrosnego służącego. (Na marginesie: skoro Paulina Młynarska miała pretensje do Czarka Pazury za to, że po nagich scenach z nią w *Wirusie* ma odwagę reklamować akcję różańcową, to Grażyna Szapołowska ma również święte prawo odsądzać od czci i wiary nawróconego i skruszonego Jerzego Zelnika). Smutne jest tylko to, że już nigdy potem polskie kino nie wypuściło równie udanego horroru.

Na zakończenie muszę wspomnieć o jeszcze jednym horrorze nakręconym w PRL – **Lubię nietoperze** (1985; reż. Grzegorz Warchoł). Mamy tu do czynienia z parodią filmu wampirycznego, co potwierdza jego zakończenie. Za scenariusz odpowiedzialni byli reżyser oraz Krystyna Kofta – i na poziomie tekstu wszystko wygląda w miarę dobrze (może tylko dialogi są jakieś takie sztywne i nadmiernie psychologizowane; ale skoro jednym z głównych bohaterów jest psychiatra – to jakie mają być). Trochę kasy wydano też na scenografię, a aktorzy wożą się po plażach całkiem niezłymi furami. W ogóle obraz robiony jest na bogato, bo miejscem akcji jest jakieś nadmorskie miasteczko bodajże we Włoszech (żeby podkreślić jego geograficzną egzotykę: chłopcy grają tam na ulicy w rugby), a najważniejsi bohaterowie to członkowie finansowej elity. Iza (Katarzyna Walter) to blond piękność skrywająca – do czasu – potworną tajemnicę: nie tylko lubi nietoperze, ale i sama jest wampirzycą. Kiedy



poznaje doktora Junga (Marek Barbasiewicz), udaje się do jego kliniki i objawia mu swoją naturę. Psychiatra nie wierzy pacjentce, ale nadchodzące wypadki zmuszą go do porzucenia własnego sceptycyzmu.

Właściwie trudno powiedzieć, co zawiodło. Może brak dystansu aktorów do własnych postaci, a może to reżyser się pogubił i – zamiast kręcić komedię grozy – poszedł w kierunku jakiejś dętej psychoanalizy. Dość, że całość jest męcząca, a przerwalniki w postaci tzw. momentów nie wpływają na to, że film ogląda się przyjemniej. Co trzeba jeszcze koniecznie o nim powiedzieć? Na ekranie zobaczymy Jonasza Koftę (szwagra współscenarzystki), którego talent aktorski jest... dyskusyjny (co innego śpiewać piosenki na estradzie, co innego grać przed kamerą). Podkładem pod, obowiązkowy w filmach z tamtego okresu, striptiz jest utwór gdańskiej kapeli Kombi

*Przytul mnie (na szczęście do fragmentu Noc jest wielkim kosmatym pająkiem! Który czyha na nas! Tylko we dwójkę mamy jakąś szansę piosenka nie dociera). Zgodnie z częstą praktyką reżyser (zresztą czynny aktor) pojawia się w drugoplanowej roli i, żeby było zabawniej, używa aparatu słuchowego – aż by się chciało zakrzyknąć: *Hola, hola, Panie Lynch! Kasą za Twin Peaks trzeba się podzielić!* O tym, że humor mógłby ten obraz ocalić, świadczą końcowe sceny, z których dowiadujemy się, że wampiryzm jest uleczalny oraz że – niestety – przechodzi z matki na córkę.*

A teraz bonus, z dwoma zastrzeżeniami. Pierwszym: nie chodzi o film kinowy, tylko spektakl Teatru Telewizji z cyklu Kobra. Drugim: nie widziałem go w całości, a fragmenty, które miałem okazję obejrzeć w internecie, były naprawdę kiepskiej jakości, tak że niewiele dało się na nich wypatrzyć. Chodzi o słynną adaptację znanego opowiadania Sheridanana Le Fanu **Carmilla** (premiera 13.11.1980 r., reż. Janusz Kondratiuk). To przedstawienie-legenda, które wywołało niezwykle emocjonalne reakcje odbiorców, a różne media miały sprawę przez dłuższy czas, dzięki czemu i ja miałem szansę się o nim dowiedzieć. Spektakl ten uczynił z Izabeli Trojanowskiej (absolwentki studium wokalnno-aktorskiego przy Teatrze Muzycznym w Gdyni) prawdziwą gwiazdę. Szkoda, że TVP nie chce przypomnieć tego tytułu, bo obok *Igraszek z diabłem* to chyba najbardziej udana z rozrywkowych produkcji Teatru Telewizji. Temat wampiryzmu powrócił jeszcze w piosence pt. *Karmazynowa noc* zaśpiewanej przez aktorkę w 1982 roku. To także całkiem dobry utwór, zarówno muzycznie, jak i tekstowo – polecam jego odsłuchanie. 🐼



ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

ZGROZA W SAN ESCOBAR

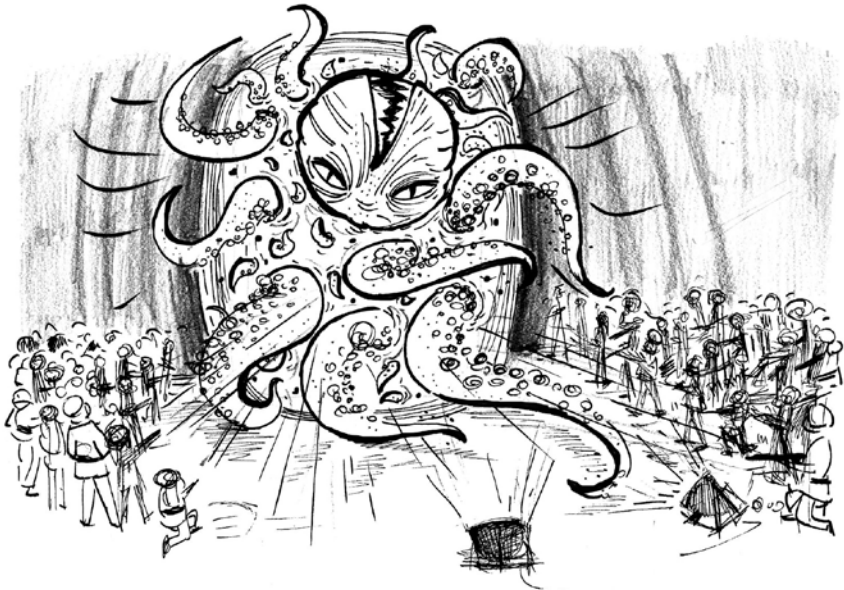
Gdy zgłaszałem się do tej misji, coś kołatało mi się po głowie. Jakiś wywiad, jakaś prześmiewcza akcja w Internecie. Teraz widzę wszystko zupełnie inaczej.

To miejsce jest tak tajne, że nie ma go na żadnej mapie. Nawet satelity szpiegowskie odwracają z zażenowaniem kamery, gdy ta perła Karaibów trafi przypadkiem w ich pole widzenia. Od prawie stu lat wyspą i marionetkowym państwem San Escobar włada niepodzielnie wywiad USA, nie dopuszczając do tego, by wiadomość o jej istnieniu dotarła do powszechnej świadomości. Kiedy zaś jeden z dyplomatów wygadał się przypadkiem przed kamerami, natychmiast ruszyła machina kampanii dezinformacyjnej, nie pozostawiając na wypowiedzi i jej autorze jednej suchej nitki.

Niesłusznie.

San Escobar jest miejscem, w którym rodzą się huragany i burze tropikalne. Jest też punktem osobliwym naszej planety, w którym dochodzi do naruszeń tkanki czasoprzestrzeni i przebić międzywymiarowych. Tędy właśnie wlatują do naszej rzeczywistości latające talerze. A co jakiś czas wyłazi stamtąd do nas coś naprawdę paskudnego.

Wiedział o tym H. P. Lovecraft, który odwiedził wyspę, zanim zniknęła na dobre z mapy świata. To tu odnalazł pierwowzory Innsmouth, Dunwich oraz innych miejscowości,





które potem opisał w swoich utworach. A w stolicy kraju, Santo Subito, stoi jego pomnik i poświęcone mu muzeum.

To właśnie dzieła Samotnika z Providence zwróciły uwagę służb wywiadu USA na San Escobar – i w rezultacie spowodowały objęcie wyspy protektoratem trzyliterowych agencji oraz jej utajnienie. Jest tam oczywiście kilka dużych baz wojskowych, których załogom jak do tej pory udawało się w miarę skutecznie powstrzymywać zagrożenie. Rośnie ono jednak w latach wysokiej aktywności słonecznej oraz wielkich koniunkcji planet. Ostatnio do tych dwóch czynników dołączyła jeszcze zbliżająca się Planeta X, znana także jako Yuggoth.

W tej sytuacji na tajnym posiedzeniu NATO podjęto decyzję o czasowym wsparciu operacji siłami wojsk innych krajów. Nasz minister wpadł na pomysł, żeby wykorzystać do tego celu świeżo utworzone Wojska Obrony Terytorialnej, do których właśnie się zapisałem. A kiedy werbowano ochotników, nie wahałem się ani chwili. Przecież uwielbiam Lovecrafta, a znalezienie się w jednej z jego fabuł wydawało mi się wtedy spełnieniem najskrytszych marzeń.

Nigdy nie zapomnę chwili, gdy staliśmy z bronią w ręku przed migoczącym portalem, przez który usiłowało się przedostać coś bardzo fascynującego. Kiedy zobaczyłem kłęb wijących się macek, a za nimi potężne cielsko, zrozumiałem, że patrzę na jednego z Przedwiecznych, straszliwego Cthulhu. Ogarnęła mnie zgroza i zachwyt jednocześnie. Drżałem cały, ale nie mogłem oderwać oczu od istoty, będącej ucieleśnieniem najgłębszych moich tęsknot i koszmarów.

Cthulhu wyprostował się powoli, powiódł po nas wzrokiem, a potem zaśmiał się obrzydliwym rechotem, dochodzącym jakby z głębi zapleśniałej studni. Nie zwracał uwagi na grad spadających na niego kul, tylko śmiał się, śmiał się coraz głośniejsze. A kiedy jego cielsko padło wreszcie martwe na polu bitwy, miażdżąc wielu z nas, pozostali wzniesli chóralny okrzyk zwycięstwa...

Gdy amerykański generał dekorował nielicznych ocalałych tajnym medalem za odwagę, byłem pełen dumy i czułem się naprawdę wspaniale. Napisałem ten tekst dla najbliższych, w sekrecie, żeby też mogli poczuć to, co przeżyłem. Ale później przyszła refleksja i opamiętanie.

Nie mogę przekazać tego wspomnienia swoim bliskim. Naprawdę nie. Jak się poczują, kiedy zrozumieją, że Przedwieczny Cthulhu na nasz widok po prostu umarł ze śmiechu?

(2.10.2017)



KAROLINA KACZKOWSKA

WYŚPISZ SIĘ PO ŚMIERCI

Zombiśław Muszyński nie mógł zasnąć. Larwy w jego trzewiach zachowywały się tej nocy wyjątkowo głośno. Zombiśław przewracał się z boku na bok, zostawiając lepkie ślady na świeżej pościeli. Miał serdecznie dość odgłosów ssania i ciumkania dobywających się z jego własnego wnętrza. Jakby tego było mało – księżyc w imponującej pełni wtykał swoje okrągłe oblicze między zasłony w oknie sypialni Zombiśława, rażąc go w oczy ledwie przysłonięte resztkami powiek.

42 Nieszczęsny umrzyk przewrócił się z boku na bok po raz siedemnasty w ciągu ostatniego kwadransa i westchnął ciężko, a wówczas część larw przemieściła się z jego brzucha do gardła. Zombiśław poderwał się gwałtownie do pozycji siedzącej, kaszląc i plując. Białe, wijące się żyjątka zostały wystrzelone spomiędzy jego gnijących warg, by po krótkim, acz gwałtownym locie, osiadły na okolicznych meblach. Uspokoiwszy oddech – Zombiśław postanowił spróbować zasnąć po raz ostatni. Ułożył się wygodnie na plecach, złożył splecione resztki dłoni na resztkach torsu i przymknął podziurawione powieki. Poleżał tak może ze dwadzieścia minut, po czym zerwał się z pościeli jak szalony. Zapalił światło w sypialni i zaczął chaotycznie przeszukiwać pomieszczenie.

— Gdzie jest ta komórka? — mruczał do siebie gniewnie z głębi gnijącej krtani — Ja im dam, tym cholernym oszustom! Dołącz do nas, mówili. Z nami wyśpisz się po śmierci.





LUIZA DOBRZYŃSKA

TYLE CO BŁYSK

Burza w górach to coś niezwykle widowiskowego. Lepiej jednak obserwować ją z okien hotelu bądź kwatery prywatnej niż wtedy, gdy jest się wysoko na zboczu Giewontu i schodzi się w dół, nie wiedząc, gdzie się dokładnie jest. Byliśmy lekkomyślni, lekceważąc prognozę pogody pod wpływem widoku czystego nieba i prażącego słońca. Teraz za to płaciliśmy. Znaleźliśmy się w Tatrach, nawiasem mówiąc, z czystej ciekawości. Jakiś znajomy profesora Bilskiego napisał, że był świadkiem dziwnych wydarzeń i profesor uparł się, że musimy je zbadać od strony naukowej. Oczywiście nic nie znaleźliśmy i nawet się tego nie spodziewaliśmy. W końcu wszyscy byliśmy naukowcami i mieliśmy ścisłe umysły. Od jakiegoś czasu zajmowaliśmy się wprawdzie po amatorsku badaniem spraw niewyjaśnionych, ale ukierunkowywaliśmy się na jak najbardziej naukowe wyjaśnienia.

43

Było coraz bardziej niebezpiecznie. Omiataliśmy ścieżkę snopami światła z latarek, choć siekający deszcz tworzył kurtynę, którą trudno było przejść. Pioruny strzelały nad naszymi głowami, przyciągane przez krzyż na szczycie góry, oślepiające błyskawice wcale nie pomagały w znalezieniu właściwego kierunku. Wreszcie Darek, nasz przewodnik, przystanął i zawołał z rozpaczą:

— Zgubiliśmy drogę! Nie wiem, gdzie jesteśmy!

W jego głosie brzmiał przestrah, którego nie potrafił ukryć. W pierwszej chwili nie rozumieliśmy, czego też on się boi, przecież ostatecznie mogliśmy po prostu stanąć i poczekać, aż przestanie padać i wtedy odnaleźć właściwą drogę. Po chwili jednak dotarło do nas, że zabrnęliśmy w jakieś dziwne miejsce. Nie było widać szlaku, ani w ogóle żadnej ścieżki. Nic, tylko te milczące wokół drzewa i duszący zapach mokrej leśnej ściółki, zmieszany z czymś, czego nie umieliśmy zidentyfikować.

— Spokojnie — powiedziała Mirka, usiłując opanować drżenie głosu. — Na pewno zaraz odnajdziemy właściwy kierunek. Nie ma co panikować.

Staraliśmy się. W końcu stanowiliśmy nie pierwszą lepszą grupę turystów. Wszyscy mieliśmy doktoraty, z wyjątkiem naszego przewodnika, a w górach znaleźliśmy się z powodów czysto naukowych. Tylko że teraz jakoś przestawało to być ważne.

— Idziemy — zdecydował profesor Bielski. — Ostrożnie, ale naprzód. Wyjdźmy spośród tych drzew, burza i drzewa to nie najlepsze połączenie.

W tym momencie Mirka potknęła się o coś i zaczęła przeraźliwie krzyżeć. Janek pospiesznie zatkał jej usta dłonią. Ugryzła go tak, że sam krzyknął, wyrwała się i rzuciła na oślep między drzewa. Profesor w ostatniej chwili złapał ją za sukienkę, podczas gdy klnąca na czym świat stoi Janek pochylił się, by obejrzeć to, o co potknęła się nasza koleżanka. I zaraz sam odskoczył ze zduszonym okrzykiem. Profesor skierował światło swej latarki na tajemniczy przedmiot. Latarka zadrżała mu w dłoni i omal nie wypadła. Na ziemi leżał



zbrązowiały szkielet wielkości małego dziecka. Nieproporcjonalnie dużą czaszkę okrywała zmumifikowana skóra, ukazując twarz tak potwornie zniekształconą, jakby za życia ten stwór był demonem z ludowych legend.

— Spokojnie. Cokolwiek to jest, nie żyje — wydusił z siebie Darek, z trudem łapiąc oddech.

— Musimy wydostać się stąd za wszelką cenę — powiedział Bielski cicho.

Janek spojrział na naszego przewodnika.

— Wychowałeś się na tym terenie. Mówiłeś, że znasz Tatry jak własną kieszeń. Mów, co nam tu zagraża — zażądał kategorycznie.

Góral potrząsnął jasną głową i rozejrzył się po milczącym lesie. Potem spojrział na leżący u naszych stóp szkielet.

- 44 — Kiedyś, kiedy jeszcze byłem mały, słyszałem opowieści o diable z gór — powiedział. — Jest tak straszny, że jak kto na niego spojrzy, traci zmysły ze strachu. Jeśli ktoś jednak ma silną wolę, może poprosić diabła o pomoc, a wtedy diabeł da mu kawałek swojej skóry. Ktokolwiek ma tę skórę, zawsze wygrywa w karty, kochają go najpiękniejsze dziewczyny, jego stada mnożą się bez opamiętania i tak dalej. Jedynym warunkiem jest położenie sobie skóry diabła na ramieniu, gdzie przyrasta. Jeśli ktoś ma trochę rozumu, po uzyskaniu tego, czego chce, powinien wyciąć poświęcanym nożem skórę diabła ze swego ramienia i zakopać ją na cmentarzu. Jeśli tego nie zrobi, sam zmienia się w spotworniałego karła i kradnie ludziom dusze, póki ktoś o czystym sercu i wielkiej odwadze go nie pokona. Jednak nie wiem, jak niby miałby to zrobić.



fot. Karolina Kaczkowska



— Babskie bajędy — mruknęłam, ale przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz. — Coś jakby o kwiecie paproci.

— Ciekawe, że ze wszystkich niekwitnących roślin ludowa legenda wybrała akurat tę, która rzeczywiście w czasach paleolitu kwitła. Co nie? — Janek spojżał na mnie, usiłując przybrać żartobliwą minę. Nie bardzo mu to wychodziło.

Przytulona do mnie Mirka dygotała tak silnie, jakby miała atak malarii. Profesor krzyknął, żebyśmy szli za nim, ruszyliśmy więc, dzwoniąc zębami. Odgarnialiśmy zagradzające im drogę gałęzie drzew, gałęzie, które zdawały się być obdarzone własnym życiem, niezależnie od wciąż ryczącej nam nad głowami burzy. Mieliśmy wrażenie, że ten las wyciąga po nas ręce, milczaco, z okrutną konsekwencją. Podłoże, po którym brnęliśmy, wydawało się nie być mchem ani typową leśną ściółką, lecz lepką przędzą, jakbyśmy szli po pokładzie z nakładających się warstw gigantycznej pajęczyny. Rozigrana wyobraźnia podsuwała nam obraz gigantycznego pająka, czyhającego z drapieżną cierpliwością gdzieś w środku tej matni, po której krążą ofiary nieświadome zguby.

— Tu coś jest! — wrzasnęła nagle Darek, przekrzykując odgłosy gromów. Kolejna błyskawica ukazała nam tuż przed nami polanę, a na niej niewielki dom, uczepiony zbocza góry. Za nim majaczyła się kolejna leśna ściana lasu, czarna i groźna. Zatrzymaliśmy się, bo światło błyskawicy zgasło i znów otoczyła nas ciemność.

— Darek?

— Nie wiem co to za chata. Nigdy jej nie widziałem. Nie ma jej na żadnej mapie, tego jestem pewny.

— Kiedy znów walnie? — Bielski pamiętał, jak przed wyruszeniem na Giewont nasz przewodnik chwalił mu się, że wyczuwa nadchodzące pioruny na co najmniej sekundę przed błyskawicą.

— Bierzemy się za ręce — odpowiedział mu góral, odzyskując pewność siebie. — Uwaga... Teraz!

Rzuciliśmy się naprzód, gdy błyskawica znów rozświetliła drogę przed nami i wpadliśmy w drzwi domu, nim zgasła. Bezgłośnie zamknęły się za nimi, jak pchnięte niewidzialną ręką. Teraz, pod dachem, mogliśmy bez przeszkód zapalić latarki, które na nic by się nam nie przydały w siekącym na zewnątrz deszczu.

Wnętrze domu było ciche i ciemne. Stare sprzęty stały tak, jakby ich właściciele wyszli tylko na chwilę, ale nic nie szurało po kątach, nic nie skrzypiało, nawet te drzwi, na pewno od dawna nieruszone, a ciche, niczym świeżo oliwione. Za krótką sienią rozpościerał się wielki pokój, z którego niedomknięte drzwi prowadziły gdzieś dalej. Wnętrze pachniało kurzem i pleśnią, jednak próżno byłoby szukać w nim woni myszy i szczurów, typowej dla starych domów. Z pewnością nie było tu ani jednego żywego stworzenia. Zabite na głucho okiennice nie przepuszczały ani najsłabszej poświaty, ani powiewu wiatru. Światła latarek wydobywały z ciemności zarysy mebli, jakichś starych obić, świecznik... Darek wyciągnął z kieszeni zapalniczkę, zapalił po kolei obrosłe pajęczynami świece i od razu zrobiło się jaśniej.



— Już prawie jedenasta, pensjonat i tak zamknięty — profesor spojżał na zegarek. — Doczekamy tu spokojnie końca tej wścieklicy, a potem spróbujemy odnaleźć właściwą drogę.

Janek wziął jedną ze świec i zaczął oglądać obrazy na ścianach, przybliżając do nich po kolei drżący płomyk. Wszystkie przedstawiały jakieś potworne istoty, twarze wykrzywione obłądnym strachem lub oczy, które zdawały się żyć własnym życiem.

— Ten, kto tu mieszkał, musiał być zdrowo trzepnięty — zawyrokował wreszcie niepewnym głosem. Zawtórowały mu ciężkie kroki na schodach gdzieś w głębi domu. Brzmiało to tak, jakby ten, kto idzie, miał ołowiane podeszwy. Kroki brzmiały przez chwilę, potem ucichły.

— Czy ktoś tu jest? — spytała Mirka cicho.

46 — Ja to sprawdzę — profesor zapalił ponownie swoją latarkę i ruszył w głąb domu.

Pospieszaliśmy za nim. Jakoś zaczęliśmy się bać rozdzielenia, nawet na chwilę. Snop światła oświetlił korytarz, potem drewniane schody, prowadzące na piętro, otoczone spróchniałą balustradą. Gruby pokład kurzu na każdym ze stopni nie pozostawiał wątpliwości — nikt nie przechodził tamtędy od lat. A jednak, gdy patrzyliśmy na nie w milczeniu, w brązowym pyłe zaczęły formować się wyraźne znaki kopyt, podobnych do tropów kozła na śniegu. Bielski zatrzęsł się tak, że latarka omal nie wypadła mu z ręki. Jego lewa dłoń powędrowała do szyi, jakby nagle coś schwycało go za gardło. Jednomyślnie wycofaliśmy się do pokoju, przebiegliśmy przez niego i stanęliśmy bezradnie. Wyjścia do sieni nie było. Po prostu zniknęło. Janek podbiegł do okna i szarpnął okiennicę z całej siły. Złamała się z trzaskiem, zostając mu w ręku, ale poza nią nie było okna, tylko ceglany mur, od którego wiało stęchlizną. Byliśmy w pułapce, zamknięci z czymś potwornym, czego nawet nie mogliśmy zobaczyć.

— Chcę stąd wyjść! Wypuście mnie! — krzyknęła histerycznie Mirka, rzucając się na ścianę i tłukąc w nią pięściami.

— Uspokój się! — profesor chwycił ją w mocny uchwyt, którego nauczył się od swego brata, judoki w młodzieżowym klubie. — Tu nic nie ma poza zbiorową histerią, rozumiesz?! Nikt cię nie usłyszy oprócz nas.

Urwał, gdyż z powietrza obok świecznika wysunęła się jakaś włochata łapa, zacisnęła się na każdej ze świec po kolei, krusząc ją i gasząc, a potem rozwiła się w nicłość. Zamarliśmy, tym bardziej, że nie zrobiło się ciemniej. Coś rozwidniało mrok, choć jeszcze nie wiedzieliśmy co i w tym momencie o tym nawet nie myśleliśmy. Tego, co się zdarzyło, po prostu nie mogło być, jednak pokruszone świece, leżące na podłodze, były niemyym świadectwem działania jakiejś siły. Cokolwiek tu było, mogło poszczycić się dostatecznie dużym stopniem materializacji, by móc zniszczyć konkretną rzecz.

— Dom, w którym czai się zło — powiedziała Mirka, uspokajając się nagle w jednej chwili. — To tytuł horroru, na który brat kiedyś mnie zabrał. To jeden z takich domów i to, co go opanowało, nie wypuści nas, póki samo nie zechce.



— Brednie — warknął Bielski, ocierając pot z czoła. Ta szarpanina, w połączeniu z przestraczem, mocno go wyczerpała. Nie był już pierwszej młodości. W chacie stawało się coraz zimniej i jednocześnie duszno, powietrze jakby zastygło w środku.

— Myślmy logicznie. Skoro mogliśmy tu wejść, będziemy mogli i wyjść — odezwał się Janek po chwili. — Obecnie po prostu nie dostrzegamy wyjścia, gdyż coś lub ktoś działa bezpośrednio na nasze mózgi. Cokolwiek to jest, musimy zachować spokój i...

Urwał, wlepiając oczy w kąt pokoju. Spojrzeliśmy w tym samym kierunku i dostrzegliśmy kobiecą postać, rysującą coś na osłепłym, pokrytym kurzem lustrze. Kobieta miała na sobie długą, fałdzistą suknię i koronkowy czepek, a gdy się odwróciła, ujrzeliśmy pomarszczoną, małą twarz i jarzące się w niesamowity sposób małe oczka. Wstrzymaliśmy oddech. Postać w sukni uniosła ku górze kościsty palec, pokiwała nim na boki i znikła, jakby rozpuściła się w ciemności. Chwilę nic się nie działo, potem ponownie rozległy się ciężkie kroki. Już nie schodziły po schodach, a krążyły za niedomkniętymi drzwiami na korytarzu, jakby nie mogąc zdecydować się na wejście. Wreszcie ucichły, jak za poprzednim razem.

— Jesteśmy w mocy diabła — oświadczył Darek zrezygnowanym głosem — Czy któreś z was nie jest ochrzczone?

— Ja jestem ateistą — rzekł twardo profesor — I nie zmienię światopoglądu ze względu na byle jaki nawiedzony dom. Nie wierzę w żadne diabły.

Gdzieś z głębi nadpłynęło jego imię, wypowiedziane dźwięcznym głucho głosem, jakby z głębi grubej, żelaznej rury. Ten niepodobny do zwykłego głosu dźwięk wstrząsnął nami aż do szpiku kości. Stojąca obok mnie Mirka wzdrygnęła się gwałtownie, a potem, bez ostrzeżenia, rzuciła się na ziemię. Jej drobne ciało, wyprężone jak w ataku epilepsji, tłuło o ściany i podłogę przy akompaniamencie na zmianę piskliwych i rżących, nieartykułowanych wżasków. Gdy próbowaliśmy ją przytrzymać, wrywała się nam z taką siłą, jakby była nie naszą dobrze znaną przyjaciółką, a kilkoma zapaśnikami stopionymi w jedno. Atak trwał przez kilka minut, potem dziewczyna znieruchomiała i uspokoiła się, nie odzyskując przytomności.

— Posłuchaj, panie marksisto i leninisto, możesz sobie mieć poglądy, jakie chcesz, ale tu trzeba egzorcysty. Sami sobie nie poradzimy — powiedział stanowczo Darek.

— A skąd go weźmiesz? Nawet jeśli uznamy twoje racje, nie możemy stąd wyjść, by sprowadzić księdza, a to w dodatku musi być nie jakiś pierwszy lepszy ksiądz — odparł Bielski ze znużeniem.

Janek wzruszył tylko ramionami i zajął się Mirką, nadal pogrążoną w letargu. Nie odzyskiwała przytomności, za to od czasu do czasu jej ciałem wstrząsały silne drgawki. Nie wyglądało to dobrze. Janek poklepywał ją po policzkach, mówił do niej, potrzasał, ale nie dawało to żadnego efektu.

To dziwne, ale ja byłam przytomna i spokojna. Tak jakby umarły we mnie wszystkie emocje. Nie analizując tego zjawiska, zaczęłam oglądać dokładnie pokój w pochodzącym

nie wiadomo skąd światło. Po chwili odkryłam w nim pewną prawidłowość: nie miał ani jednego kąta prostego. Wszystkie kąty pokoju na pewno miały mniej niż 90 stopni, to samo dotyczyło rogów obrazów i mebli. Konsekwencją tego było, że ściany załamywały się pośrodku, niezwykle zjawisko architektoniczne. Gdyby Mirka – w końcu dyplomowany architekt – była przytomna, na pewno by ją to zainteresowało. Nie słyszałam dotąd o niczym podobnym, tym bardziej nie widziałam. Ktoś musiał bardzo się przy tym napracować. Zaczęłam podejrzewać, że po przedłużeniu ramion kątów tworzą one cykl pentagramów, ale z oczywistych powodów nie mogłam tego sprawdzić. Zrozumiałam, że ten dom został specjalnie zbudowany do określonych celów, że nie jest to jedynie czyjaś rezydencja opanowana przez Zło. Po raz pierwszy pomyślałam o nim z wielkiej litery, tak jakby było niezależną istotą. Miałam wrażenie, że moje spojrzenie wyostriżyło się – zrozumiałam nagle, że stół nie jest stołem, a rodzajem ołtarza, zaś to, co przechowywano tu w szafach, to na pewno nie są czyjeś ubrania. Pokonując lęk, otworzyłam jedną z nich i z trudem stłumiłam krzyk. W szafie niczego nie było, tylko stęchły kurz, ale odniosłam wrażenie, że nie ma ona tylnej części. Jakbym patrzyła w nieskończoną otchłań. Spojrzawszy na podłogę spostrzegłam, że pod drugą szafką znajduje się zastygła kałuża, czarna w tym upiornym świetle, ale wyglądająca zupełnie świeżo.

Nie zdobyłam się na to, by otworzyć coś jeszcze. Podsumowawszy to, co już wiedziałam, doszłam do wniosku, że nadal nie wiem, które z rzeczy zarejestrowanych przez moje zmysły są prawdziwe, a które to złudzenie. Czy to były zaburzenia czy też rzeczywiste zjawiska paranormalne? I co je powodowało? Diabeł? Nonsens, nie ma żadnych diabłów. Zatem co?

Ponownie rozległy się kroki, tym razem bardzo blisko, tuż za mną. Odwróciłam się gwałtownie, ale niczego nie zauważyłam. Fizycznie nie było tam nikogo, tylko kroki krążące przy nim powoli, jakby z namysłem. W jednym z kątów gęstniała ciemność, tak jakby światło gasło od tamtego punktu. Po chwili z mroku wychyliła się widmowa ręka, nakreśliła na ścianie jakieś znaki i znikła. Ściana zafalowała jak pionowa tafla smoły





i na moją głowę spadła jedna z ciężkich portier, zawieszonych przy zamurowanym oknie. Gruba, przesycona kurzem materia owinęła ciasno moją głowę, tamując oddech, walczyłam z nią jak z żywym przeciwnikiem, a gdy wreszcie udało mi się zerwać portierę z głowy, byłam wyczerpana niczym po biegu maratońskim i z trudem łąpałam powietrze. Jednocześnie światło zabłysło pod wielkimi kłozami na suficie i zaraz zgasło. Po chwili zjawisko powtórzyło się, potem znowu, jakby ktoś bawił się wyłącznikiem. Ze zgrozą spozirzegłam, że w kłozach nie było żarówek – wisały pod belkowanym sufitem puste, zasnute pajęczyną. Nie wiedziałam, jak długo stoję w tym lodowatym pomieszczeniu, wpatrzona w rozblyskający regularnie i gasnący sufit, gdy wreszcie zjawisko ustało, a kroki ucichły. Cały dom ponownie zastygł w oczekiwaniu na rozkaz swego mrocznego pana. Zwinęłam wciąż trzymaną w rękach zasłonę i cisnęłam ją z obrzydzeniem w kąt. Powiodłam wzrokiem po całym pokoju i po swych towarzyszach, skulonych pod przeciwległą ścianą.

— Jestem Sylwia Kamela, doktor palentologii — oświadczyłam głośno. — Świat jest poznawalny. Cokolwiek tu się wydarzy, nie będę się bać, gdyż to, co tu mieszka, nie jest w stanie mną owaćdnąć.

Podeszłam do spoczywającej w bezruchu Mirki i uderzyłam ją kilkakrotnie po chudej twarzy.

— Wstawaj, śpiąca królowo — powiedziałam ostro.

Mirka otworzyła oczy i bluznęła potokiem przekleństw w kilkunastu różnych językach. Jej lewa dłoń wystreliła do przodu, godząc ostrymi paznokciami w moją twarz. W ostatniej sekundzie zdołałam uniknąć ciosu i złapać ją za przegub. Wiła się, krzyżąc przenikliwie i prężąc się jak wąż, ale nie puszczałam jej ręki, cały czas powtarzając:

— Spokój, Mira, spokój. To nasz strach powoduje, że TO jest tak silne. Musisz zapanować nad strachem, a wtedy ONO osłabnie i nie będzie mogło nas skrzywdzić.

Profesor został pod ścianą, ale Darek i Janek przyszli mi z pomocą. Nie było to łatwe. Całą siłę wyteżali, by utrzymać wrzeszczącą Mirkę. Jak to wątłe ciało mogło kryć w sobie takie pokłady dzikiej furii? Wreszcie powtarzane jak mantra słowa odniosły pożądany skutek – mięśnie dziewczyny zwiotczały, jej głos załamał się w żalnym skowycie, a po chwili Mirka popatrzyła na nas zupełnie przytomnie. Chwytała przez kilka minut powietrze, jakby wypłynęła z dna jeziora, wreszcie rozplakała się i objęła Janka kurczowo.

— Już dobrze — powiedział, gładząc ją uspokajająco po głowie. — Już dobrze. Sylwka do bize mówi, trzeba panować nad emocjami, a wtedy TO nie będzie miało punktu zaczepienia.

— Czym jest TO? Czy to diabeł? — spytała, usiłując opanować drżenie ciała i wstrząsający ją szloch.

— Nie wiem. Jeśli istnieje Piekło, wtedy TO na pewno jest stamtąd. Ja, choć też ateista, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

— I ty mówisz, żeby się nie bać?!!

— Tak, to właśnie mówię. I nie krzyż, skarbie. Nawet abstrakcyjne Zło nie jest wszechmocne. Jeśli wierzyć okultystom, ONO czerpie siłę z naszych negatywnych emocji – bez nich



nie może działać. Dlatego egzorcyzmy są takie skuteczne. Oczyszczają duszę i serce, oczyszczają myśli, przynoszą spokój. I niewytłumaczalne zjawiska znikają. No, wstawaj, laska.

Mirka posłusznie wstała, ale nogi trzęsły się pod nią tak bardzo, że musieliśmy ją trzymać, żeby nie upadła. Profesor podniósł się wreszcie ze swego miejsca.

— Słuchajcie mnie — powiedział. — Teraz pójdziemy na rekoniesans po domu. Na razie znamy tylko ten pokój, dobrze będzie dowiedzieć się, co jest w innych. Może dowiemy się, jak stąd wyjść.

— Albo jak nigdy już nikąd nie wyjść — mruknęła Mirka posępnie.

Darek skinął posłusznie głową i otworzył niedomknięte drzwi. Szybko jednak zamknął je z powrotem, z całej siły napierając na nie swym wielkim ciałem. Za drzwiami nie było już korytarza ani schodów na piętro, tylko gęsta jak smoła ciemność – skonsolidowana, nieprzenikliwa, sprawiająca wrażenie żywej i usiłująca wlać się przez otwarte drzwi do pokoju. Janek pospieszył z pomocą i we dwóch zdołali jakoś domknąć drzwi, zasuwając dodatkowo umieszczony na nich ciężki rygiel. Bielski zmarszczył czoło, ale nie ruszył się, żeby im pomóc. Gdzieś w głębi domostwa ponownie rozległ się nieludzki głos. Powtórzył kilkakrotnie jakieś słowa, których nie mogliśmy zrozumieć, po czym zamilkł.

— Gada jak z głębi żelaznej beczki. Słuchaj no, profesorze, skoro jesteś taki mądry, to wymyśl, co robić, żeby stąd wyjść — zaproponowałam. Nie odpowiedział. Patrzył na zegarek, wciąż ściągając brwi.

— Słyszycie pioruny? — spytał. Nadstawiliśmy odruchowo uszy. Nie zwróciliśmy wcześniej na to uwagi, ale rzeczywiście. Na zewnątrz wciąż szalała burza. Jakaś długa.

— Która godzina? — spytałam. — Mój zegarek stanął.

— Nie, nie stanął. Wskazuje za pięć jedenastą, prawda? Mój też. A wasze?

Teraz wszyscy spojrzeli na swoje czasomierze, nawet wciąż osłabiona atakiem Mirka. Profesor miał rację, wszystkie wskazywały tę samą godzinę – tę, o której weszliśmy do tego domu. Spojrzeliśmy na Bielskiego bezradnie, oczekując od niego wyjaśnienia. W końcu to on był mózgiem naszej małej drużyny.

— To czas się zatrzymał? — spytał go Janek.

— Nie. Czas płynie, tyle że bardzo, bardzo wolno. Dlatego ta burza jeszcze trwa, a my mamy szansę.

Patrzyliśmy w milczeniu, jak dotyka wskazującym palcem małego kompasu obok cyferblatu.

— Weszliśmy tędy — rzekł wreszcie, pokazując na jedną ze ścian. — Tego jestem pewny. Darek, skup się. Kiedy będzie następny piorun?

— Walą raz za razem.

— Nie chodzi o grom, a o błyskawicę. Skoncentruj się, w końcu to twoje paranormalne uzdolnienia nas tu ściągnęły. Mieliśmy je zbadać w sposób naukowy. Demonstrowałeś nam różne rzeczy.



Darek skinął głową i nerwowo przecesał zmierzwiona czuprynę palcami. Rozejrzał się, a my odruchowo powtórzyliśmy to za nim. Drzwi do dalszej części domu lekko dygotały, jakby coś napierało na nie od zewnątrz. Rzeczywiście lepiej było się pośpieszyć.

— Uwaga — w głosie górala brzmiała nuta hysterii i ogromne napięcie. Wpatrywał się w ścianę, na której widniały smugi brudu i nie dające się odczytać znaki. — Teraz!

Rzuciliśmy się z determinacją na ceglany mur, który rozstał się jak ściana mgły. Wpadliśmy wprost w oślepiające światło podwójnej błyskawicy. Impet powalił nas na stok, przeturlaliśmy się po mokrej ściółce, objając boleśnie zębra o wystające korzenie drzew. Przez chwilę, oszołomieni, łapaliśmy oddech.

Znajdowaliśmy się na zboczach Giewontu, niedaleko szlaku turystycznego. Burza dawno ucichła, niebo nad nami było czyste. Nad regłami wstawał świt, w szarym brzasku widzieliśmy drzewa, krzewy i rysujące się szczyty gór. Nigdzie nie było śladu jakiegokolwiek chaty, nawet szałas. Jęcząc i stękając, pozbieraliśmy się z mokrej trawy.

— Teraz chyba znajdę drogę — oświadczył Darek.

— Bez łaski, teraz to i my znajdziemy — warknął Janek, pomagając podnieść się Mirce. Ja podałam rękę Bielskiemu.

— Co to było, profesorze? — spytałam. Spojrzył na mnie błędnym wzrokiem. Jego buty ślizgały się po trawie i liściach, musiałam wyteńczyć wszystkie siły, by mu pomóc.

— Brama — rzekł wreszcie. — Rodzaj przejścia otwieranego przez wyładowanie rzędu milionów wolt. Wpadliśmy w szczelinę między wymiarami lub coś w tym guście. Tam, gdzie domy tego rodzaju to zwykłe zjawisko.

— Według mnie cud, że żyjemy.

— Żebyś wiedziała. Mieliśmy szczęście. Żyjemy. I żadne z nas nie zwiariowało — spojrzał na Mirkę. — Dobrze się czujesz?

Pokręciła głową, zbyt zmęczona, by wydobyć z siebie głos. Zastanawiałam się, czemu akurat ona uległa opętaniu, ale postanowiłam zostawić wyjaśnienie tej sprawy na później. Teraz marzyłam tylko o tym, żeby dotrzeć do pensjonatu i zmienić ubranie na suche. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka mokra. Inni chyba marzyli o tym samym.

Słońce stało już wysoko, gdy dotarliśmy do Zakopanego. Nie wiedzieliśmy, czemu natopkani górale patrzyli na nas jakoś dziwnie i ustępowali nam z drogi. Dopiero w pensjonacie, spojrzawszy do lustra, poznaliśmy rozwiązanie zagadki.

Każde z nas miało na twarzy osmalenie w kształcie rozcapierzonej błyskawicy.



